

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

NAJWYŻSZY MANIFEST.

Petersburg, 24-go Sierpnia (T. A. R.).

Najwyższym Manifestem z powodu narodzin Cesarzowicza Następcy Tronu rozkazano:

1) Kary cielesne za przewinienia mieszkańców wsi, obcoziemców, jak również innych osób, nie wyłączonych z pod tych kar z tytułu praw stanu lub praw szczególnych, skasować i kar tych względem nich na przyszłość nie stosować. Znieść na przyszłość nakładanie kar cielesnych w wojsku lądowym i morskiem.

2) Udzielić ulg co do różnego rodzaju opłat, wyliczonych szczegółowo w Manifestie.

3) Umorzyć należne, atoli jeszcze niezaliczone lub nieopłacone do dnia narodzin Cesarzowicza Następcy Tronu, a w Manifestie wymienione, kary.

4) Z zaległości dochodów niestałych, oprócz opłat stempowych i akcyzy od trunków, oraz z rozmaitych cel i poborów, z kosztów na utrzymanie i przesyłanie aresztantów, z opłat skarbowych na rzecz dyjet i strawnych, utworzonych do dnia narodzin Następcy Tronu, umorzyć te, które poszczególnie nie przekraczają 50 rubli w każdej pozycji.

5) Umorzyć wszystkie do dnia 1 (14) Stycznia 1904-go roku powstałe zaległości od osób, które nadebrały pensje i fundusz na utrzymanie, o ile przeciw tym osobom nie wszczęto oskarżenia o wyrządzenie tej szkody świadomie i dla korzyści lub w innym celu nieprawym.

6) Skreślić z rachunków straty, wyrządzone skarbowi do dnia narodzin Następcy Tronu, przez nieprawidłowe wyznaczenie i wypłacenie dymisyonowanym szeregowcom, oraz

ich żonom i wdowom ustanowionych wsparć jednorazowych i dożywotnich.

7) Umorzyć utworzone, a należne od różnych osób, towarzystw i instytucji, nieściągnięte do dnia narodzin Następcy Tronu zaległości za leczenie, przytułek i utrzymanie chorych we wszystkich szpitalach, lecznicach i pokojach ambulatoryjnych skarbowych Zarządu Pałacowego, oraz instytucji zarządu Cesarzowej Maryi. Skreślić z rachunków summy, wydatkowane przez konsulów za granicą do dnia narodzin Następcy Tronu, na utrzymanie, leczenie i powrót do Rosyi wychodźców rosyjskich i zaliczone lub mające być zaliczonemi jako zaległości, zarówno na rzecz marynarzy, jak i wychodźców lądowych.

8) Nie pobierać i skreślić z rachunków: należne skarbowi pieniądze za naukę i użytkowanie lokalów rządowych, jako równoznacznik wydatków na utrzymanie i naukę w zakładach szkolnych kosztem skarbu od osób, które następnie nie wysłużyły ilości lat, ustanowionych dla prawa do uwolnienia od obowiązku pokrycia tych wydatków. Nagromadzone a nieściągnięte zaległości opłat za naukę i wychowanie w instytucjach Zarządu Cesarzowej Maryi; zaległości, należne od osób służących w urzędach okręgów Altajskiego i Nereczyńskiego, co do opłat za naukę i utrzymanie dzieci w szkołach miejscowych; uwolnić osoby, które ukończyły uniwersytety i mają podlegać egzaminom przed komisjami egzaminacyjnymi do dnia 31-go Grudnia 1905-go roku, od wuiwienia opłaty 20-tu rubli za egzamin, pod warunkiem złożenia dowodów o niezamożności.

9) Uwolnić czynszowników Domenów Państwowych, Pałacowych i Gabinetu, jako też dzierżawców majątków skarbowych od poborów, szczegółowo w Manifestie wyłuszczonych umorzyć kary, ponakładane na kupców drzewa rządowego za opóźnienie należnej zapłaty

i zwrócić tym osobom ze złożonych przez nie kaucyi summy, pozostałe po pokryciu strat, wyrządzonych skarbowi przez ich niepunktualność.

10) Udzielić wyliczonych w Manifestie ulg i co do zwrotu pożyczek, wydanych różnemi czasy osobom, Towarzystwom i stanom.

11) Pozostawić bez ściągania summy pieniężne, wyasygnowane przez główny zarząd stadnin państwowych osobom prywatnym i Towarzystwom na wydawanie premii pieniężnych i materyalnych, oraz nagród na wystawach i wyścigach do 1903-go roku, co do których nie przedstawiono dowodów usprawiedliwiających o dokonanych wydatkowaniach.

12) Darować i skasować, na wskazanych w Manifestie zasadach, nieściągnięte jeszcze w drodze służbowej, zarówno rządowe, jak i wchodzące w zakres zarządu instytucji Cesarzowej Maryi niedobory, straty i deficyty, jak również nadebrane summy, powstałe z nieprawidłowego wydawania urzędnikom instytucji państwowych różnego rodzaju osobistych wypłat pieniężnych.

13) Przejąć na rzecz skarbu państwa wydatki na wychowanie i zabezpieczenie losu sierot po oficerach i szeregowcach, zmarłych skutkiem ran i chorób na wojnie z Japonią.

14) Rodzinom lekarzy, którzy, będąc na służbie publicznej, brali udział w walce z chorobami epidemicznymi i uległszy zarazie, złożyli w ofierze życie swoje dla państwa, udzielić prawa do pobierania emerytury ze skarbu państwa.

15) Uwolnić od wszelkiej odpowiedzialności wojskowych, którzy do dnia narodzin Następcy Tronu zawarli związki małżeńskie z naruszeniem ustanowionych praw wojskowych.

16) Dzieciom, zrodzonym z prawego małżeństwa osób, pozbawionych sądownie praw stanu, jeśli osobom tym przywrócono nastę-

pnie prawa te do dnia narodzin Następcy Tronu, lub też na mocy niniejszego Manifestu, darowuje się te prawa stanu, które miałyby one w razie urodzenia się po ułaskawieniu rodziców.

17) Przywrócić prawo do otrzymania biletów legitymacyjnych osobom, pozbawionym tego prawa, o ile w ciągu 10 lat do dnia narodzin Następcy Tronu nie podlegały żadnym karom za przekroczenia przepisów ustawy celnej.

18) Udzielić osobom, które do dnia narodzin Następcy Tronu dopuściły się wyłuszczonej w Manifestie zarówno ogólnokryminalnych, jak i państwowych przestępstw i wykroczeń, wymienionych w tym Manifestie łaski i ulgi.

19) Spadkobierców winowajców, jak również podlegających odpowiedzialności skutkiem ubóstwa samych winowajców, uwolnić od odpowiedzialności pieniężnej względem skarbu, o ile od czasu występnego czynu do dnia narodzin Następcy Tronu upłynęło lat 10.

20) Obywatelom Wielkiego Księstwa Finlandzkiego darować łaski i ulgi na zasadaach następujących: umorzyć wszystkie podlegające opłacie do d. 1-go stycznia 1904 r. i nieściągnięte do dnia narodzin Następcy Tronu podatki osobiste i gruntowe; zaliczoną do zaległości opłatę według normy niższej, należną od osób, które leczyły się w szpitalach rządowych, oraz sumy do 2,400 marek — z rządowych sum, zaległych według spisu niedoborów, zatwierdzonych do ściągnięcia z osób urzędujących. Pod warunkami, określonymi w Manifestie, darować czwartą część pierwotnej wysokości niespłaconych do dnia narodzin Następcy Tronu pożyczek w pieniądzu, zbożu i mące, wydanych na wyżywienie ludności w dotkniętych nieurodzajem miejscowościach, przelać 300,000 marek z finlandzkich sum skarbowych na fundusz nie-tykalny na potrzeby bezrolnych.

Umorzyć wszystkie, do dnia narodzin Następcy Tronu nieściągnięte kary, ponakładane na zgromadzenia miejskie i wiejskie za niewybranie w r. 1902 i 1903 członków do urzędów poborowych do spraw powinności wojskowej, o ile zgromadzenia rzeczzone obo-wiązek ten spełniły w r. 1904.

Tym z pośród obywateli Finladyi, którzy bez pozwolenia wydalili się z granic kraju lub okręgów filandzkich do portów zagranicznych, nie dopuściwszy się wyłuszczonej w Manifestie przestępstw, pozwolić, bez obawy kary za niedozwolony wyjazd, w ciągu roku od dnia narodzin Następcy Tronu, powrócić do Finlandyi, pod warunkiem, aby podlegający służbie wojskowej natychmiast po powrocie do ojczyzny dobrowolnie zgłosili się do miejscowego urzędu poborowego.

Uwolnić od kary poborowych powołanych do służby wojskowej, którzy bez przyczyn prawem uzasadnionych, uchylili się od powinności wojskowej, o ile przed upływem trzech miesięcy od dnia urodzin Następcy Tronu zgłoszą się do urzędu powinności wojskowej.

Osoby, winne przestępstw, za które wyznaczono im karę wyższą, jako to pieniężną nie wyżej 500 marek, więzienie nie dłużej nad rok, wydalenie ze służby lub zawieszenie w pełnieniu obowiązków, a którym do dnia narodzin Następcy Tronu nie wytoczono spraw kryminalnych, nie wydano wyroków lub wyroku skazującego ich nie wprowadzono w wykonanie, albo też kary, przez sąd określone, nie są jeszcze wykonywane — od sądu i kary ułaskawić.

Łaska niniejsza nie rozciąga się na osoby, winne kradzieży, roztrwonienia, ukrywania rzeczy kradzionych, rabunku, wymuszenia, oszustwa, fałszerstwa i wogóle przestępstw, pociągających za sobą pozbawienia zaufania cywilnego lub uznania za niegodnych pozostawania w służbie krajowej, jak również na

osoby, winne przestępstw, ściganych w drodze oskarżenia prywatnego.

Osobom zaś, które dopuściły się tych przestępstw lub czynów występnych, za które prawo nakłada wyższe od wyżej wymienionych kary, — zmniejszyć karę o jedną trzecią, skazanym zaś na dożywotnie zamknięcie w domu poprawczym określić je na lat 14.

21) Jenerałowi-gubernatorowi finlandzkiemu rozkazano rozważyć te środki, które mogą być przedsięwzięte w celu złagodzenia doli osób, którym wzbroniony jest pobyt w obrębie Wielkiego Księstwa Finlandzkiego, oraz przedstawić swe wnioski do Najwyższego uznania.



Maryan Gawalewicz. ←

J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Justynka Solówna odebrawszy bilecik z poleceniem przyjaciółki, przybrała minę tak ważną, jak gdyby jej powierzono missyę wysoce dyplomatyczną; dotychczas Misia korzystała z jej usług w sprawach drobnych i mało znaczących, nie obdarzając jej nigdy większym zaufaniem, ani pomimo pozorów zażyłego stosunku dopuszczając do zwierzeń i wynurzeń.

Obu Dobrojewskim załatwiała mniejsze sprawunki, chodziła do księgarni po książki lub nuty, dowiadywała się po magazynach dla „maman“ o rozmaite szczegóły toaletowe, zносиła czasem nowinki salonowe, powtarzała zasłyszane ploteczki, ale po za tem

QUODLIBET.

(Pogawędka).



II.

Ludzie jeżdżący koleją (mówią dziś o nich z pewnem politowaniem), poznają dany kraj w swoich podróżach mniej więcej tak samo, jak goście poznają dom, do którego przychodzą z wizytą etykietałną; przyjmuje się ich zazwyczaj w salonie, czasem wprowadza do gabinetu i zaprasza do stołowego pokoju na przekąskę.

Reszta apartamentu pozostaje dla nich niedostępna, a wiadoma rzecz, że z salonu najmniej, z jadalni trochę więcej, wnioskować można o gospodarstwie i całości domu.

Często salon bywa na pokaz urządzony, zbyt kowny i wystawny, podczas gdy sypialnia, kuchnia i inne ubikacje — Boże odpuść! — świadczyłyby tylko o zaniedbaniu i tysiącnych brakach swych mieszkańców.

My, podróżując dla przyjemności, zwiedza-

my najczęściej salony i gabinety Europy, stolice i większe miasta, omijając prowincję, która o wartości kraju, jego kulturze i ekonomicznym stanie daje dopiero dokładne wyobrażenie.

Winszuję temu, kto by z Warszawy chciał wnioskować o Reczywole albo Ciechanowie!

Znać Francję z samego Paryża, to bardzo dużo, ale nie wszystko, aby ją należyście ocenić.

Prawdziwie wytworną damę poznaje się wprawdzie po fizyognomii, toalecie i manierach, ale i *le dessous* musi być w każdym szczególe do tego zastosowane; podszewka przy okryciu także coś znaczy.

— Synu mój, — powiedziałbym do swego jedynaka, gdybym go miał, — postaraj się zobaczyć kobietę, którą będziesz uwielbiał, nie tylko w sukni balowej, ale i w szlafrocuku, nie tylko na wieczornych przyjęciach, ale i rano, gdy się żadnego gościa nie spodziewa!... A jeżeli nic cię do niej nie zrazi, padnij dopiero na kolana i bądź szczęśliwy!

Tę samą radę dałbym wszystkim, jadącym do Paryża.

— Postarajcie się Francję poznać na prowincyi!

I nie tylko Francję, ale każdy kraj, który zamierzacie zwiedzić, a przedewszystkiem własny, studyjcie nie z wielkich miast, lecz i po za niemi, z partykularza nawet, ze wsi, z tych kątów deskami zabitych, bo wtedy dopiero przez zestawienie kontrastów wyrobicie sobie dokładne o nim pojęcie.

Prowincya francuzka w swoim rodzaju jest może nie mniej interesującą, jak sam Paryż; przedewszystkiem po większej części jeździ się po niej, jak po jakimś wspaniałym parku, w którym na cudnej zieleni drzew i krzewów biela się i złocą smacznej architektury budynki, a nawet gospodarskie domostwa, nawet stajnie i obory wyglądają tak, jakby w nich konie i krowy tylko dla własnej przyjemności mieszkały.

Dla nas, Francuzów północy, pojęcie wsi odnosi się do jakiejś prymitywnej osady, w której wyciągniętym sznurem stoją arki Noego, osadzone na piasku, wśród grusz garbatych i wierzb rozczochranych, a dla ozdoby, jak kwiatek przy kożuchu, pod okienkami chat wyrastają malwy i słoneczniki.

wielka przyjaźń z Misią ograniczała się do minimum serdecznych objawów i duchowego obcowania.

Teraz nagle stało się dla niej coś niepojętego; Misia, ta niedostępna, zamknięta w sobie na dziesięć spustów Misia, zażądała od niej adresu Julka!... zażądała go w tajemnicy!...

Dla egzaltowanej, wrażliwej historycznie dziewczyny był to fakt ogromnego znaczenia.

Wyobraźnia jej wysnuła z niego cały szereg najfalszywszych wniosków i domysłów.

— Niewątpliwie chce do niego napisać! — mówiła sobie, — a może odpisuje na jego list, w którym zapomniał podać jej swego adresu. Być może, i to na pewno, że go umyślnie nie podał, aby ją jeszcze bardziej zaintrygować. Przecież nikt nie wie, co się z nim stało. Od pięciu miesięcy przepadł, zniknął, jak cień, tylko jego jęk słychać z „Piekle miłości.“ To cudowne!... to jest poprostu bohaterskie!

Ogromnie czuła się przejęta sytuacją, której pozazdrościła Misi.

Wyobrażała sobie, że gdyby kiedy poeta jaki, dramaturg, jednym słowem literat, tak samo zakochał się w niej i zrobił ją bohaterką swego utworu, gdyby go wydrukował z dedykacją dla niej i gdyby to całe miasto czytało, musiałaby się czuć tak szczęśliwą, tak dumną, że... że kazałaby się fotografować z jego książką w ręku i pozwoiliła się umieścić na wystawach sklepowych pomiędzy rozmaitymi bohaterkami i bohaterami chwili.

— Być kochaną przez człowieka z wielkim talentem, — powtarzała mamie Dobrojewskiej na „fiv'ach,“ ryzykując, że ją gromowładne oczy Prezesowej w popiół obróci, — to ideał kobiety!... A przejść do potomości w druku, to zaszczyt dla każdej

z nas. Dla takiej sławy warto się nawet, jak powiadają filistry — skompromitować.

Izio Pustopolski z uśmiechem najgrzeźniejszego satyra ofiarował się jej napisać poemat białym wierszem za taką cenę, ale przymrużając swe rozmarzone oczy, spojrziała na niego przez ramię z takim lekceważeniem, że się aż zarumienił.

— Pan wie, co to jest poemat? — spytała go z przekąsem.

— Czemu nie?... to jest coś takiego, co się drukuje krótszymi wierszami, aniżeli szerokość zwyczajnej stronicy, — odciął się, dowcipkując; — a białe wiersze, to są takie, które żadnego koloru nie mają, choćby się je nawet karminem pisało.

— No, pańskie białe wiersze trzebaby było najpierw oddać do prania, — powiedziała mu, wydymając swoje za grube trochę i za czerwone usta.

Przyzwyczajona była z mężczyznami rozmawiać w sposób taki lekceważący i każdemu dawać „po czubku,“ według swojej metody, aby się wydawała bardziej „pikantną.“

Młodzię przez nią maltretowana rozpowiadała o niej złośliwie, że dlatego lubi tak często spoglądać na mężczyzn przez ramię, bo wie, że ma ładniejsze plecy od biustu; na balach i wieczorach tańczących, kiedy obowiązkowo musiała się pokazywać w dekoltowanej sukni, nosiła zawsze toalety, odsłaniające bardziej ramiona i plecy, aniżeli biust.

Jeden z salonowych dowcipnisiów wyraził się o niej, że nosi swoją skromność z przodu, a kokieterię na plecach.

— A on jest głupi z obu stron! — odcięła się, gdy jej to powtórzono.

Pomimo ciągłego przekomarzania się z Izidem, miała do niego osobliwą „passyjkę,“ jak powiadała; często pokłówszy go szpiczastymi słówkami, obrzucała go na końcu po-

włóczyłem spojrzeniem i ściskając mu rękę z dreszczykiem nerwowym, mówiła:

— *Soyons amis, Cynna!*

Do niego też przedewszystkiem zwróciła się o pomoc w wydostaniu adresu Dobrojewskiego.

— Na księżycu! — odpowiedział jej krótko. — To jedno mogę pani z wszelką pewnością powiedzieć, że nie wiem i dowiedzieć się nie mogę. Już mnie o to z samego początku Prezesowa obliżowała!

— A ja się dowiedzieć muszę!... królestwo za adres tego pana!

— Czy dziewicze?...

— Jakto?...

— Nie rozumie pani?

Zaczął coś mówić o Amazonkach, aby swój kulawy dowcip podeprzeć, ale mu przerwała:

— Izio się gwałtownie starzeje; żadnej posługi już z pana!

— To prawda; na listonosza straciłem wszelkie kwalifikacje; przedewszystkiem...

— Nogi panu nie statkują, to wiadomo. Żegnam cię, kulawy Merkury!...

Zaczęła obchodzić wszystkich swoich znajomych i każdego nagabywała jedną i tą samą propozycją:

— Królestwo za adres Julka Dobrojewskiego!...

Przez trzy dni daremnych poszukiwań, kiedy nawet tak hojna nagroda nie pomagała do pozyskania gorąco pożądanej wiadomości, wpadła sama na najprostszy pomysł udania się do kantoru „Gazety porannej“ i zapytania tam, czy nie znają miejsca pobytu autora sensacyjnej powieści, drukowanej obecnie w odcinku pisma.

Bardzo jasnowłosa i piegowata panna, ku wielkiemu zdziwieniu Solówny, usłyszawszy jej zapytanie przy okienku, przez które wpływała prenumerata i ogłoszenia, głosem nakręconej pozytywki odezwała się:

Rustique, pittoresque, — powiedziałby Francuz z zachodu, ale dodał zarazem: *et barbare!*

To, co się zowie wsią u niego, mogłoby u nas zawstydić nie jedno miasteczko, w którym na rynku spotkać można tak samo obywatela, jak i jego wieprza lub cielę, przeglądających się obojętnie w kałużach, nigdy nie wysychających, ku wielkiej uciechu kaczek i gęsi.

Z tego jednego względu rynki naszych Pacanów przypominają Kapitol, ale niestety z żadnego innego więcej.

Dla automobilisty, *ocmmé il faut*, najważniejszą kwestyę stanowią drogi.

Gdyby w raję nie było szerokich gościńców makademizowanych i gładkich, jak posadzka, szanujący swą maszynę „samochodnik“ wolałby piekło, choćby tylko dobrymi chęciami brukowane.

Po francuzkich drogach jeździ się, jak po stole, a odkąd powstały kluby automobilistów i sport ten się rozpowszechnił, z jeszcze większą starannością czuwają tam nad gładkością wszelkich dróg komunikacyjnych.

Specjalne karty i przewodniki drukowane wskazują, któredy najwygodniej i najbezpiecz-

niej potoczy się samochód, przy każdym zakręcie, każdym spadku stoją tablice wzdłuż drogi, jak życzliwe przyjaciółki, ostrzegające: „Tu hamuj!... tu zwalnij!... tu zatrąb, bo możesz sobie albo komu kark złamać!“

Wszędzie na ważniejszych przystankach można być pewnym, że w najmniejszej miejscinie znajdzie się wygodna wozownia (*garage*) na pomieszczenie automobilu i że maszyna nie ustanie w drodze z głodu, bo ją łatwo nakarmić benzyną, sprzedawaną na litry przez przydrożnych przekupniów.

Akcentuję ten szczegół tem bardziej, iż przekroczywszy granicę francuzką, w Państwie porządku, bojaźni Bożej i dobrych obyczajów, łatwiej o piwo i o arrogantnego junkra, aniżeli o naftę i o przytułek dla samochodu.

Przekonaliśmy się już o tem zaraz w Metz, gdzie automobil nasz na ciasnym podwórku hotelowem musiał nocować, a po benzynę trzeba było jeździć aż do składu aptecznego.

— *Festina lente!* — powiedzieliśmy sobie przezornie, puszczając się w drogę z Paryża, to znaczy, mieliśmy tylko pięć do sześciu mil na godzinę zmachać, rozporządzając siłą dziesięciu par parowych koni.

Ale po co się spieszyć, kiedy zwyczajny pociąg pasażerski nie ma większej pod tym względem ambicyi i kiedy się robi *une partie de plaisir*, mały spacer na jakiś tam tyśiąc kilometrów!

Po co się spieszyć, kiedy w Château Thierry można pogawędzić z brązowym Lafontaine'm przy wjeździe do miłego miasteczka, uśmiechniętego tak pogodnie i wesoło, jak gdyby chciało opowiedzieć gościowi jedną z najdowcipniejszych bajeczek swojego rodaka, i kiedy za kilka franków można zjeść takie śniadanie, za jakie w Warszawie kilka rubli zapłaciłoby potrzeba.

A teraz młajnicie językiem wy, co lubicie „Extra Dry,“ albo „Crémant rosé;“ jechałem na Epernay.

Można nie mieć pojęcia o geografii, ale Reims i Epernay znać musi każdy, kto choć raz w życiu wypił butelkę szampana; ta skromna nazwa, wydrukowana na etykietach butelek szampańskich, wypalona na grzybiastych korkach perlistego nektaru, przypomina zawsze tylko wesołe i przyjemne chwile, w których z kieliszkiem w ręku siedziało się przy wystawnym stole i słuchało często nudnych

— Julian Dobrojewski, Wiedeń, hotel Sachera!

I dalej wpisywała coś bardzo szybko do sznurowej księgi.

Justynka oddech zaparła w piersiach; nie spodziewała się tak łatwo znaleźć rozwiązania swego zadania.

Złożyła ręce, jak do modlitwy i z wyrazem rozanielenia w twarzy zawołała:

— Ach! mój Boże!... czy pani jest tylko tego pewna?

Piegowata urzędniczka kantoru poczytne go pisma, szczytającego się najlepszymi informacjami w prassie, podniosła oczy, nie poruszając pochylonej głowy, spojrzała na nią z urazą i podrażniona jej powątpiewaniem, rzekła nie zbyt uprzejmym tonem:

— Jeżeli pani jest pewniejsza, to po co się pani przychodzi pytać?

— Bo podobno!...

— Hotel Sachera, Wiedeń,— powtórzyła krótko, stanowczo i bez apelacji, dając do poznania, że nie ma wcale ochoty marnować więcej czasu, przeznaczonego na ważniejszą czynność wpisywania adresu prenumeratorów, aniżeli udzielania adresu sensacyjnych współpracowników pisma.

— Czy nie byłaby pani tak uprzejmą zanotować mi ten hotel?

Jasnowłosa i piegowata zrobiła zniecierpliwiony ruch, odrzuciła pióro, zchwyciła niebieski ołówek i na oddartym marginesie jakiegoś afisza napisała: Hotel Sacher.

— Jest! — rzuciła nielaskawie i odwróciła głowę, jak gdyby chciała powiedzieć nudnej interpelantce:

— Kończ swój interes i wynoś się, bo mi szkoda czasu!

Solówna stała jeszcze w zachwyceniu, nie mogąc własnym oczom uwierzyć.

Miała ochotę rzucić się w ramiona tej kantarowej wróżce, która jej tak trudne zagadnienie w ciągu jednej minuty rozwiązała, ale poprzestała na wyciągnięciu do niej swej

długiej, chudej ręki ze słowami, w których drżała nuta rozczulenia.

— O, dzięki!... dzięki pani!

Była uszczęśliwioną.

Była dumną, że się jej udało okazać godną zaufania Miszetty; w przekonaniu swoim spełniła czyn wielki, do jakiego ani Izio Pustopolski, ani żaden z salonowych jej słoneczników nie był zdolny.

Wskoczyła do dorożki i kazała pędzić w Aleje Jerozolimskie.

Z wypiekami na twarzy, z błyszczącymi oczyma, wpadła do przedpokoju, wołając już od progu:

— Pani jest?... muszę się widzieć z panią.

— Jasnie państwo wyjechali z wizytami,— odpowiedział lokaj.

Solównie twarz zgasła, jak zdmuchnięta lampa; takiego zawodu się nie spodziewała.

Los pozazdrościł jej chwili tryumfu i nagrody.

— A kiedy państwo wrócą?

— Może za godzinę, może za dwie. Kto to może wiedzieć!

Spuściła głowę, zamyśliła się ponuro, zciągnąwszy brwi, jak Elegia.

— Proszę mi dać kopertę, pióro i atrament—rzekła po chwili tonem samobójczyni, która ma zamiar spisać swój testament.

Lokaj otworzył drzwi do salonu i wprowadził ją do gabinetu Misi.

Usiadła przy biurku i napisawszy gorączkowo kilka słów, podarła je niezadowolona; drugi i trzeci raz wrzuciła do kosza nieudaną sztafetę, wreszcie zdecydowała się bez wszelkiego dopisku włożyć w kopertę adres Julka, zakleić ją i nie dość na tem, zapieczętować jeszcze liliowym lakiem, który znalazła na onyksowym kałamarzu Misi.

— Proszę ten list... ale bardzo proszę, oddać do ręki samej pani, skoro tylko powróci!—powtórzyła dwa razy służącemu i wyszła powolnym, ociężałym krokiem niepokieszonej wdowy do przedpokoju.

Ominęła ją sposobność otrzymania zasłużonej nagrody z ust przyjaciółki i wyrazu uznania, na które się tak cieszyła.

Poszła do mamy Dobrojewskiej, aby położyć głowę na jej pulchnym ramieniu i powiedzieć te zagadkowe słowa:

— Dokazałam dziś cudu!

Na więcej nie pozwałała jej dyskrety, do której była przez Misę zobowiązana.

Tego samego dnia jeszcze wieczorem, list Miszetty pod adresem Dobrojewskiego znalazł się w skrzynce pocztowej; miała go już napisany w biurku i czekała tylko wiadomości od Solówny, aby swą korespondencję wysłać.

W tydzień później, „Gazeta Poranna“ ukazała się bez odcinka powieściowego, a w ogłoszeniu od Redakcyi na czele numeru, żdziwieni czytelnicy znaleźli następujące obwieszczenie:

„Z przyczyn od nas niezależnych, zmuszeni jesteśmy na pewien czas przerwać drukowanie dalszego ciągu, z takim zajęciem czytanej powieści Juliana Dobrojewskiego p. t. „Piekło miłości;“ natychmiast po nadesłaniu dokończenia przez autora, złożonego chwilowo chorobą, podamy naszym czytelnikom rozwiązanie dramatycznej sytuacji, na której tymczasowo powieść się urywa.“

Ogłoszenie to sprawiło wrażenie pomiędzy czytelnikami „Gazety;“ sensacyjna powieść stała się jeszcze bardziej interesującą przez to samo, że kazano się domyślać rozwiązania, a jeszcze bardziej powodów takiej naglej niespodzianki.

(Ciąg dalszy nastąpi).



toastów, ale pijało zawsze najzabawniejsze i najdowcipniejsze wino od czasów patryarchy Noego.

Dziwię się, że dotąd żaden poeta, nawet francuzki, nie napisał ody na cześć szampana; przecież to jedyne wino, które ma duszę, które żyje, które się rusza i które podobne jest do człowieka z fantazją, temperamentem i humorem.

A czyż jest człowiek przyjemniejszy, czy jest przyjemniejsze wino!...

„Szampan, to mi bozki trunek, co się burzy, pieni, pryska, a upaja, jak huryska, jak kochanki pocałunek.

„Lej go w czarę nenufarów, albo w linii kielich nalej,— pij i kochaj, pij i szalej, nim przeminie chwila cesarzy!”

„Złoty nektar w kryształ wlewaj, Parnasowych zaprosz gości,— w cześć poezji, w cześć miłości pij i kochaj, pij i śpiewaj!...”

Taka mi się śpiewka wiązała na ustach, kiedy przejeżdżał przez Epernay, miasteczko małe, schludne, o wytwornym wyglądzie, w którym wzdłuż pryncypalnej ulicy stoją z obu stron eleganckie pałacyki fabrykantów

wina szampańskiego i ciągną się słynne piwnice z milionami butelek o złoconych główkach, rozsełanych na cały świat dla amatorów „białego.“

Tu króluje Moët-Chandon, głośna od półtora wieku firma, która zwycięzko rywalizuje z Wdową Cliquot i bombarduje wszystkie biesiadne stoły swojemi korkami.

Każde miasto, tak samo jak człowiek, przybiera z czasem znamienne cechy swojego zawodu i zajęcia, wytwarza sobie swoją indywidualną fizyognomię. Nie wiem czemu, może tylko przez suggestyę, przypomniało mi Epernay butelkę szampana, zamrożonego w błyszczącym kuble, podczas wystawnego śniadania w restauracyi pierwszego rzędu; dziwiłem się niemal, że po ulicach nie kręcą się mieszkańcy tego miasta-winiarni we frakach, białych krawatach, z serwetką na ramieniu i z wygoloną, typową twarzą garsonów i maître-d'hotel'ów.

Widziałem wieżę, którą wznoszą obecnie w Epernay, a która będzie przewyższała wszystkie budynki miejskie; miała kształt kryształowej butelki do likieru.

Nie bawiąc długo w miasteczku, którego sama atmosfera ma coś upajającego dla ludzi o słabej głowie, pomknęliśmy dalej ku Chalonsur-Marne, przejechawszy po drodze wijącego się węża.

Była to jedyna ofiara, która przypłaciła życiem swą nieostrożność, nie zdoławszy umknąć z przed kół automobilu, ale tyle gadzin niezmiądzonych zostało jeszcze na świecie, że tej jednej nie było mi wcale żal, chociaż nie mogę patrzeć nawet na muchę, tonącą w salaterce z kompotem.

Herkules musiał doznawać jednak wielkiej przyjemności, zdusiwszy jadowitego węża dziecięcemi rękoma...

Ze wszystkich żyjących stworzeń najgłupsze stanowczo muszą być gęsi; zauważyłem to po drodze, gdy nasz samochód w całym pędzie najeżdżał na nie. Jak gdyby nawet nie miały instynktu zachowawczego i pojęcia o niebezpieczeństwie, które im zagraża, nie ruszały się z miejsca, z urażoną miną angielskich guwernantek wyciągały szyje i żdziwione zdawały się syczeć:

— *What it is?...* cóż to znowu?... także!

WESTCHNIENIE.

(Z dawnych snów i widzeń).

„W tej mgie twych własnych myśli tęcza świta,
W tych dumkach twoje latają westchnienia...”

J. Słowacki.

„Westchnienie.“ Naprawdę — tytuł przestarzały,
I cóż to pan myślisz dziś pisać?

„Piosenkę dla ciebie — aniele mój biały,
Co będzie cię do snów kołysać —

Do słodkich, do złotych!“ Skarciła mnie wzrokiem,
Niedobra, — o swojej wie siłę,

Mignęła swej jasnej sukienki obłokiem.

„Pisz sobie, — powrócę za chwilę.“

„Pisz sobie, — to łatwo, ja patrzeć się wolę

W te jasne jej oczy dziewczęce,

Lecz siedzieć samemu — tak z piórem — przy stole,

No, — któż mi pomoże w piosence?

Świat szaty południa odziany złotem,

Na niebie ni chmurki, ni cienia,

Ni skazy, ni plamy, ni zmarszczki na ziemi,

I gdzież tu odszukać westchnienia?.

A ludzkie gdzieś gwary, jak gdyby okrzyki

Wesela — dochodzą mnie echem,

O, zabrzmi piosenko w takt skocznej muzyki!

Nie będziesz westchnieniem — lecz śmiechem.

Lecz cóż to? Za srebrnych jaśminów gęstwina

Głos jakiś drży w znanej mi spiewce,

A dźwięki wyraźniej i głośniejsz wciąż płyną

Że: „nigdy niczyją — być nie chce!“

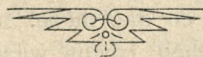
Ach, wtedy Westchnienie w piersi mi wezbrało,

Z westchnieniem przez okno się chyłę,

I kończę piosenkę: „Ty musisz być białą

Lilią — na mojej mogile!“

Bożymir.



Ułamki szczęścia.



(Ciąg dalszy).

Człowiek, który chce żyć całą pełnią, pracować musi. On sam pracę sobie nakazuje. Jest to mus wewnętrzny, tak silny jak głód, mus niezwykły, bo człowiek wie, że tylko jego praca jest jego wyłączną własnością, jest jego wartością w ogólnej summie życia, że po za nią wszystko, co jego dotyczy, może być jedynie długiem, zaciągniętym względem innych, że po za nią może być tylko mniej lub więcej złudnem, mniej lub więcej pasywnym zerem.

Objawy tej pracy bywają, rozumie się, najrozmaitsze. Myśliciel, artysta, mogą bardzo ciężko pracować, siedząc z założonemi rękoma, w pozornym próżniactwie.

Trud z każdą pracą związany jest tutaj wielką rozkoszą, jest poprostu prawidłowym wyładowaniem energii; trud stokrotnie przewyższony szczęściem wypowiedzenia, wykazania swego ja, wydobycia z siebie szereg dźwięku, potrzebnego w harmonii wszechświata, sprawiedliwą dumą szczerości. Taka praca jest nieśmiertelną, choćby towarzyszyła jej zupełna bezmiennosc jej twórcy, choćby tak cichą była, jak mały obłok, płynący po niebie; jest nieśmiertelną, bo w niej odezwał się nowy głos człowieczy, nowem drgnieniem w słuch ludzki uderzył, wzbogacił skarb ogólny.

Takiej pracy tylko o ten głos chodzi, wszystko inne: sława, zaszczyty, pożytek, bóle, trwogi, wrogie potęgi — nikną z oczu, aby tylko ten głos był najczystszy, najpełniejszy. Jeżeli ten głos się nie odezwie, w pracy będzie tkwiło tylko bezmyślne naśladownictwo, rutyna zabójcza dla rozwoju samejże pracy.

Ale są ludzie podobni do ziarn, którym nigdy zakiełkować nie dano; życie utajone tylko mają w sobie i nikt nie wie, co dać mo-

gli światu. Nikt, nawet oni sami. Kogo o to zwinąć można? Jest tu jakaś wielka wina bezosobowa.

Człowiek, który trafił na swoją drogę, kocha swoją pracę, bez niej życie nie miałoby dla niego wartości; znalazł swoje miejsce na świecie.

Bohaterowie, prorocy, uczeni, artyści, ci wszyscy, których pracą dotąd żyjemy i dalej żyć będziemy, znaleźli swoją drogę, byli szczeremi tonami głosu ludzkiego. Inni ich naśladowali; wielu pociągniętych ich potęgą szło za nimi, niby fale wody wichrem porwane; znaleźli tu prawą drogę ludzie szczerzy, i znaleźli fałszywą ci, którzy własnej wartości nie znając, jak ómy do każdego światła leca, i próchno własnej próżności wydało się im słonecznym blaskiem bohaterów. A próżność jest fałszem i jako taki szczęścia dać nie może, a jeśli je da, to jest ono w tak niestałej równowadze, że za lada podmuchem upada.

A kto i co nas uczy, że należy szukać własnej drogi? Kto nam mówi, że w pracy swojej jest ułamek szczęścia?

A ta praca nie jest bynajmniej tak trudną do znalezienia, jeśli tylko nauczymy się szanować każdy jej objaw szczerzy. Tyle razy słyszeć można zdania: „Cóż ja znaczę?“ „Cóż ja zrobić mogę?“ Zdawałoby się, że tylko geniuszów ludzkości potrzeba! Tymczasem każdy geniusz potrzebuje wielu pomocników, apostołów swego światła, swej „dobrej nowiny“, każde ziarno potrzebuje swoich siewców, każde zło swoich lekarzy. Trzeba być duchowym krótkowidzem, albo oschle mieć serce, tępą wrażliwość, wolę, jak nie pajęczka wiotką, lub wreszcie lekliwość małego dziecka, by nie dojrzeć i nie odczuć, że każdy dla ideałów swoich pracować może, być przynajmniej tą kroplą wody, która kamienie kruszy.

Praca uważana jest dotąd jako środek do zdobycia chleba, stanowiska, sławy; jeśli ogół na tem zyskuje — tem lepiej, ale ta korzyść,

Musieliśmy dla głupich gęsi zwalniać biegu, bo i głupotę trzeba niekiedy uszanować — z litości.

W Chalons-sur-Marne wjechaliśmy na szlak nawały pruskiej z r. 1870-go.

Daty, krwią zapisane, nie zcierają się tak łatwo; trzydzieści trzy lata minęły od czasu ostatniej kampanii, a jednak pamięć po niej nie zarosła tak, jak mogły poległych bohaterów w rozległych polach, na których toczyły się te śmiertelne walki i rozgrywał wielki dramat dziejowy.

W Chalons przypadł nam pierwszy nocleg po wyjeździe z Paryża.

Miasto stare, episkopskie, sprawiło na mnie wieczorem wrażenie spracowanego wołu, który przeżuwał, układa się do spoczynku.

Naturalnie musi mieć dużą studnię na rynku, musi mieć Plac Republiki, na którym stoi pomnik Carnot'a, musi mieć swoją katedrę zgrzybiałą, która co rok robi się w przekonaniu ambitnych mieszkańców o dziesięć lat starszą, swoje „restaurants“ z koniakiem i czarną kawą i chociaż jeden „tingel“, z którego do późnej nocy przy rozklekotanem pia-

nie dochodziły kuplety szansonistki o przekrzywanym głosie.

Przed domami, na pustych ulicach siedzieli poczciwi Chalonscy i młynkując palcami na okrągłych brzuskach, ziewali tak smacznie, już o dziesiątej wieczorem, jak ja o trzeciej nad ranem przy moim biurku nie ziewam.

Księżyc z twarzą burmistrza o spasionym podbródku, mrużył oczy, zaciskał wężkie usta, zdawał się także wpadać w słodką drzemkę i od czasu do czasu przez sen powtarzał: *si, si!*...

Cóż lepszego zrobić w takim Chalons wieczorem, jak nie położyć się spać na miękkim łóżku pod ogromnemi kotarami, które pół wieku osłaniały chrapiących gości hotelu „pod Bożą Rodzicielką“

Jakiś szanowny archaizm mieszczański zachował ciężkie, otyłe meble i ściany hotelowego numeru, w którym angielskie sztychy i portrety wielkich marszałków Francji z epoki Napoleońskiej nie dawały mi długo w noc zasnąć.

Ilekróć chciałem przymknąć powieki, zda-

wało mi się, że ze starych, rzeźbionych ram wyłazą Coulaincourt, Lefèvre i Davoust, podchodzą do mego łóżka i przez zwinięty kułak przyglądają mi się z ciekawością i z marssem na czole, jakby im dziwno było widzieć w swem towarzystwie takiego intruza.

Może odgadli, że jadę z Paryża i chcieli spytać co o Bonapartów.

Wpadłem na sposób, aby się pozbyć mar imperyalizmu i przez zęby zacząłem gwizdać.. Marsylianę.

Zakłęcie poskutkowało; marszałkowie w paradnych mundurach odwrócili się do mnie plecami, powłazili znowu do swoich ram i powłazili w ściany, że przy rudawym blasku świecy wyglądali tylko, jak poczerniałe plamy.

Spłoszyłem ich samą nutą republikańizmu, nie potrzebując nawet wspominać nazwisk pp. Combes'a i Loubeta.

Nazajutrz o południu byliśmy już w Verdu.

Miasto ma charakter wesołej twierdzy, do której się wjeżdża przez obronne wały, fosy i zwodzone mosty, uliczki wąskie, pełne kramów i sklepów, na starych domach nowy tynk połyska, nadarmo szukałbyś szczerbów,

to już niby kwiat pracy z zapachem filantropijnym.

A wszak każda praca jest ogólnoludzką własnością.

Ta uwaga prowadzi nas do

SOLIDARNOŚCI

istniejącej między ludźmi.

Jesteśmy z sobą wszyscy złączeni musowo. Człowiek najsamodzielniejszy, odludek najzgrzybliwszy z tej łączności wyzwolić się nie mogą. Kto chciałby się wyłamać z pod jej mocy, ten chciałby oddychać bez powietrza.

Jesteśmy złączeni z naszymi poprzednikami na ziemi, bo z ich pracy codziennie korzystamy, za ich winy i błędy cierpimy.

Jakaż ogromna ilość trudów, wysiłków, pomysłów, wynalazków, wytworzyła nam w ciągu ubiegłych wieków choćby udogodnienia życia codziennego, na które już uwagi nie zwracamy i nie wiemy wcale komu za nie dziękować należy.

Bezmiennosc spowija ogromny zastęp naszych dobroczyńców. Jak małą uwagę zwracamy na dzieje naszego rozwoju dowodzi fakt, że historia cywilizacji nie wchodzi wcale w zakres wykształcenia średniego; a jednak, naszym zdaniem, jest to gałąź wiedzy o wiele ważniejsza od chronologii dynastii egipskich, a nawet od łaciny i greki, bo nauka tych języków jest tylko częściowym obeznaniem się z naszym dorobkiem intelektualnym.

Człowiek z gimnazjalnym wykształceniem żywi pretensję do nazwy człowieka cywilizowanego, chociaż o rozwoju kulturalnym ludzkości ma bardzo słabe pojęcie. Taka niewiedomość musi zaciemniać sąd trzeźwy o chwili obecnej: większość wykrzyków: *dawniej lepiej bywało!* opiera się głównie na niewiedomości, jak to dawniej bywało. Andersen w pysznej bajce: „Kalosze szczęścia“ dowcipnie wysmiewa, między innymi to uwielbienie czasów minionych.

Dzieje państw szeroko pojęte, literatura odzwierciadlająca wiary, ideały, upodobania danej epoki — na każdej karcie mówią nam o oddziaływaniu przeszłości na teraźniejszość, dawno zmarłych ludzi na żyjących, przekonują nas, że jesteśmy tylko dalszym ogniwem jednego łańcucha.

Wskutek ogólnego zaniedbania dróg właściwych, swoistych, o których już była mowa poprzednio, to oddziaływanie rozlewało się nieraz szerzej lub ciśnień, nie według właściwego swego łożyska, a według pory swojej, okoliczności postronnych, braku sił przeciwnych.

O tej łączności, istniejącej między następującymi po sobie pokoleniami, między jednocześnie żyjącymi ludźmi, [wiemy dobrze, lecz odczuwamy ją zbyt słabo. A jednak nieustannie popycha nas w różne strony oddziaływanie środowiska, w którym żyjemy faktycznie czy w wyobraźni jedynie; to drugie jest często o wiele silniejsze, gdyż jest otoczeniem z wyboru, które najlepiej naszemu *ja* odpowiada. Nieobliczone i niezmierzone są następstwa naszych czynów, bo nie kończą się one z naszym życiem, bo niema człowieka, któryby śladów po sobie nie zostawił.

Skoro solidarność, między ludźmi istniejąca, jest tak wyraźna, skoro jest potęgą tak olbrzymią, staje przed nami pytanie: czy nie w niej właśnie tkwi pierwiastek ogólnego, możliwego do zdobycia szczęścia?

Tak często słyszane zdanie, że szczęście jednostki stoi w sprzeczności ze szczęściem zbiorowem, zdanie przez praktykę tyle razy stwierdzone wydaje się nam tylko wynikiem fałszywie postawionej zasady szczęścia a jeszcze więcej spaczonych, niemoralnych warunków życia, chociaż przyjmujemy zasadę, że szczęście polega na najpełniejszym rozwoju naszych zdolności i dążeń, naszej swoistości.

Łatwo spotkać się tu z zarzutem, że ta zasada uniewinnia wszelkiego rodzaju zbrodniarzy.

Oni także mogą iść jedynie za głosem swej indywidualności. Czy jednak istnieje człowiek, który bez żadnej dla siebie korzyści, bez żadnego względu na własne dobro, bez żadnej, choćby najfałszywiej pojętej idei chciał szkodzić innym? Taki człowiek byłby po prostu szaleńcem, którego każde społeczeństwo odsunęłoby od swego życia, wyłączyło ze swej zbiorowości.

Tacy ludzie, jeśli nawet istnieją, stanowią zbyt małą cyfrę w ogólnej summie ludzkości by ich można brać w rachubę.

Jeżeli człowiek szkodzi innym świadomie — czyni to jedynie dla jakiegokolwiek dobra własnego.

Człowiek odczuwający i rozumiejący oddziaływanie jednych czynów na drugie, nawet we własnym choćby interesie, nie może być oszustem, złodziejem, mordercą. Ale człowiekowi od dzieciństwa mówią: „wybijaj się nad innych, chwytaj co możesz, rabuj legalnie!“ To jest nauka praktyczna, przytem tylko jako dodatek deserowy, występuje nauka o miłości bliźniego, o obowiązkach społecznych.

Te obowiązki noszą dotąd charakter ofiary szlachetnej, poświęcenia godnego podziwu; ogół nie widzi w nich jeszcze najpiękniejszego i najprostszego zarazem objawu miłowania wzajemnego, bez którego życie byłoby jednak niemożliwym. Z drugiej znów strony, jeśli wyobrazimy sobie typ człowieka szczęśliwego z pewnością nie wyposażymy go ani w zbrodnię, ani w oszustwa, nikt chyba nie słyszał o świadomym zbrodniarzu „szczęśliwym.“

Dość często słyszane zdanie „szczęśliwy, bo... nie mądry“ jest tylko wyrazem pesymistycznej ironii, ludzi zrażonych niesprawiedliwym stosunkiem tak zwanej zasługi do tak zwanej nagrody.

Kto szczerze wypowiada się w życiu ten daje wszystko, co dać może: mała trawa ma w naszych oczach równą wartość z wielkim dębem, ale ta wartość nie jest ich zasługą;

które przed trzydziestu laty powyrywały tu bomby i kartacze pruskie.

Kto chce wojennych dopatrzeć się śladów, niech zajdzie do hotelu „pod jurnym kogutem,“ gdzie gospodarz założył sobie w sali restauracyjnej całe muzeum broni, mundurów, pocisków, zebranych w okolicy na polu walki i poukładał je w panoplia na ścianach.

Z bagnetów nieprzyjacielskich kazał zrobić świecznik, a z bomby, która o samem południu spadła przez szklany dach jego jadalni i grzecznie potoczyła się mu pod nogi, oprawę do zegara, stojącego teraz na rzeźbionej półce przy kominku.

„Jurny kogut“ galicki przetrzymał obleżenie i teraz jeszcze dumnie stroszy swój grzebień, jeszcze wyżej dziób zadziera, a wspinając się na nogach z ostrogami, zdaje się piąć jeszcze głośniejsze, żeby go aż nad Renem słyszano, po drugiej stronie granicy.

Mieliśmy ją pod zachód słońca dopiero przejeżdżać w Mars-la-Tour.

Sama myśl, że mi przyjdzie tak rychło już pożegnać się z ziemią francuską, sprawiała mi przykrość.

Do automobilu wpadały białe motyle i fruwając przy szybach, trzepotały skrzydełkami, jakby chciały wołać:

— Ajaj!... co ci tak spieszo?... po co wyjeżdżasz?

Słońko zaglądało przez zapuszczone w powozie zasłonki i z francuską kokieterią muskało mnie po szyi złotymi promieniami, jak zalotnica koronkowym wachlarzem, szepcząc mi do ucha:

— *Tiens... tu ne reste pas?*

Drzewa przydrożne, którym automobil w pedzie zcinał jak kosą gałązki, obrzucały mnie liśćmi i zielonemi jeszcze owocami, szumiąc:

— Masz, masz!... to za karę, że od nas uciekasz.

Wszystko dyszało pełnią życia, radością i rozkoszą w ten jasny, słoneczny dzień lata, wszystko wabiło oczy i śmiało się na całe gardło, jak po szampanie.

Niebo, jak jedwabny żagiel wydęty na wietrze, zdawało się mieć za godło frygijską czapkę i nosić napis, wyszyty trzema kolorami: *Vive la France!*

Pola brzęczały kłosami, ulanemi niby ze

starego złota, a w brzuku tym słyszałem: *Vive la France!*

Vive la France! pogwizdywało powietrze, *Vive la France!* czytałem w oczkach nawet dzieci przy piersi i usta mi się uśmiechały, a serce zaczęło instynktownie powtarzać ze wszystkim: *Vive la France!... vive la France!*

Tyle tu wszędzie ukochania tej ziemi i tej swojszczyzny, i tych pamiątek wiekowych, i tej drogiej tradycji narodowej, tej natury, którą Bóg stworzył i tego, co człowiek zdziałał na chlubę własną i swojego kraju, a na pożytek całych pokoleń, i na korzyść całej ludzkości.

Dlatego tyle dumy i szczęścia w tym okrzyku: *Vive la France!*...

Automobil pędził, jakby go furje gnały, bo memu przyjacielowi spieszo było do żony i dzieci; a wiadomo, że nie tak chyżych skrzydeł nie przypina, jak miłość.

Przy Mars-la-Tour zwolniliśmy wreszcie.

Kto widział kiedy taką granicę dwóch państw potężnych i dwóch narodów wielkich, na którejby, jak strażniczka usiadła śmierć

wśród ludzi wiele traw udaje dęby i wtedy przestają być nawet małymi trawami.

Gdyby łączność musowa nie istniała między ludźmi, szczęście jednostki mogłoby stać w sprzeczności z dobrem ogółu; czyny stałyby luźno obok siebie, niby kamienie martwe, żadnym oddziaływaniem z sobą nie związane. Gdybyśmy silniej odczuwali solidarność naszą, to każdą spotkaną krzywdę uważalibyśmy za własną, bo też jest ona rzeczywistością naszą, bo zwiększa ogólną sumę niedoli. Jeżeli czyn Iksa doprowadzi Ygreka do nędzy, a potem do zbrodni, czyż nie Iks będzie tu współwinowajcą? Czyż kłamstwo jednego nie osłabia naszej wiary w ludzi, nie wywołuje w nas podejrzeń niesłusznych, czyż dobrzy nie płacą za złych?

Niema jednostkowego szczęścia wśród niedoli ogólnej, a jeśli nawet dzieje się tak chwilowo, to przyszłość mści się w trójnasób za gospodarzkę rabunkową przeszłości.

(Dokończenie nastąpi).



Marya Łopuszańska.

OBRAZY

Z PRZESZŁOŚCI NIEWIAST.



(Ciąg dalszy).

Przyszła czas wreszcie, kiedy Pan powołał duszę Miriam do siebie. Leżała na łożu w namiocie, przez otwór którego widać było szczyt Synaj, zawsze zakryty obłokiem pełnym błyskawic. Czując, że śmierć nadejdzie niebawem, Miriam wysłała Aarona, by przywiódł do niej Mojżesza na ostatnią rozmowę.

Gdy Mojżesz wszedł, Miriam rzekła doń ze smutkiem:

— O tam lata długie czekała, aż ujrzę ziemię obiecaną, kędy lud izraelski ma zamieszkać, lecz umieram, nie ujrawszy jej. Rzekłeś mi niegdyś, że nadejdzie czas, kiedy usłyszę całą prawdę z ust twoich, nie każ mi, proszę, na nią czekać, bo oto śmierć już stoi u wezglowia mego i niecierpliwi się, że jeszcze za nią nie idę, a jabyłem chciała wprawdzie usłyszeć słowo pociechy, by nie odejść smutna i ze łzami w oczach tam, skąd nikt nie wraca.

A ujrawszy Mojżesz, że Miriam już naprawdę odejść ma niedługo, rzekł do niej:

— Dziś dusza twoja spokojna, jak tafla jeziora o zmierzchu, więc zdolna jest przyjąć prawdę.

A ona rzekła:

— Długom wędrowała po tej ziemi, krwawiąc stopy swe o kamienie, a serce me było pełne gorczy i bólu, — aż przyszła śmierć i położyła dłoń na sercu mojem, i natychmiast ucichło, jak ptak schwyty, i teraz jest już spokojne zupełnie, tylko smutne i zmęczone bardzo. Bracie, pociesz je!

Tedy Mojżesz począł mówić cicho to, co tylko przez nią jedną słyszanem być miało, a w miarę jak mówił, oblicze Miriamy rozjaśniało się wielką nadzieją i wiarą.

— Prawdę rzekłeś wówczas w wąwozie Horeb: przez całe życie stałem sam, nikt mnie nie znał, nawet ty, nawet moja przybrana matka, Nitakrit, która miłując mnie, strach przedemną czuła, jak przed niezglębioną przepaścią. Ale jak tobie, tak i jej odkryłem duszę dopiero, gdy już była u progu wielkiej podróży, aby jej uczynić lepszym owo przejście z jednego świata do drugiego. A gdy mnie wysłuchała, umarła z uśmiechem na ustach, bo tak, jak ty, spragnioną była prawdy, tak, jak ty serce miała pełne miłości. Rzekłeś mi wtedy, w wąwozie Horeb, że nie miłuję ludu tego, i chciałeś wiedzieć, co dusza moja ukochała? Otóż wiedz o tem, że lud izraelski chce uczynić przybytkiem

czci Jedyne, aby cześć ową rozniósł na cały okrąg ziemski — i myśl tę umiłowalem więcej, niż duszę własną, więcej, niż wszystko na świecie. Boć niema dotąd ludu na powierzchni ziemi, któryby cały, jako jeden mąż, cześć oddawał Elohimowi. Wszędzie kapłani, wtajemniczeni wyznają ją w ukryciu, ale ludy grzęzną w bałwochwalstwie. I oto wstają już dwie straszliwe potęgi: Babilon i Assyrya, jako żywo ślepe, okrutne i nieublagane, które nie uznają niczego oprócz siły, które jak burza niszcząca, spadną na Egipt, aby zgasić światło, ponieważ są córkami ciemności. Tam rządzą ślepe i sprośne bóstwa, które walkę wydały czci Jedyne. One kiedyś i na Izraela wysłały swoje okrutne zastępy i zniszczyły świątynię Elohima, ale Izrael po to żyje, aby wszędzie nosił wraz z sobą cześć Boga Jedyne. Jeszcze nie jeden raz przyjdą nań burze, aż w końcu nasienie jego wichry rozproszą po świecie, ale wraz z nim rozniosą też zarody czci Elohima po wszystkich zakątkach tej ziemi. I przyjdzie dzień, że światło zajaśnieje w łonie jego, lecz lud ten ślepy nie ujrzy go, ale inni go ujrzą i zbawieni będą. A mnie Pan obrał, abym naród ów oporny i twardego karku wiódł po drodze, którą mu wyznaczył, abym mu nie dał zapomnieć, iż jest ludem wybranym na przybytek ku czci Elohima. Jam jest poskromicielem i wychowawcą jego; jam posłan po to, aby gorącym żelazem wypalić na ciele Izraela Zakon Pański. Przez długie lata samotny walczyłem z narodem, który szemrać i burząc się znosił nałożone nań wędzidło, — nawet ty i Aaron stawiliście mi czoło nie raz jeden, — musiałem uczynić serce moje twardem i nielitościwym, aby spełnić to, co Pan na mnie włożył. Wiem, iż nieraz pragnęli pozbyć się jarzma włożonego na nich przeze mnie, i cały żywot mój był jedną walką z ludem, który wywiódłem z domu niewoli. Przeto jestem też smutny i znużony wielce, i czekam, aż mnie Pan powie, iż

z kosą i szcękając zębami, zgrzytała od lat dziesiątek: „Memento mori!...“

Kto widział, aby groby i krzyże rozdzielały sąsiedzkie zagony?...

A jednak taką jest dzisiejsza granica między Niemcami a Francją, granica świeżą krwią naznaczona przez pobojojwiska, zorane kulami dwóch armii walczących.

Wjeżdża się, jak na dziwny, osobliwy jakiś cmentarz, na tę Lotaryńską ziemię, którą stratowała wojna; wzdłuż drogi ciągną się same mogiły, z dojrzałych zbóż, nizkie, jakby przykucnięte wśród żyta i pszenicy, wyciągają ramiona białe krzyże i zdają się wołać głosem głuchym: „Habt Acht!...“

Zwycięzkie Niemcy krzyżami poznały wszystkie ślady swego pochodu; wszędzie, gdzie wrzał żaarty bój, gdzie śmierć swoje okrutne odprawiała żniwo i kosiła całe łany żywotów ludzkich, gdzie wojna swe okropne stawiła piramidy z trupów i rannych, wznoszą się dzisiaj mogiły i pomniki z napisem, czyją krwią obłano zwycięztwa nad Francją.

Majestat śmierci i wielkość bohaterstwa budzą zawsze dreszcz grozy i podziwu; trzeba

przed nimi odsłonić głowę i pochylić czoło we czci i zadumie.

Ale ten wielki dziejowy cmentarz na zdobytej ziemi wygląda na paradę i butny popis przed światem.

— Patrzenie! — woła z tych grobów Germania, — tyliśmy krwi przelali, porachujcie te mogiły! w każdej butwieją kości tyłu i tyłu dragonów, tyłu piechurów, tyłu puszkarzy, — okupiliśmy drogo te dwie prowincje i przepłacili je. Dziś one nasze i wydrzeć ich sobie już nie damy!...

Na osobnej karcie przejrzeć można pola niemieckiej chwały, gdzie zaznaczono każdy pomnik, każdy grób, każdy krzyż, postawiony przez „wdzięczną ojczyznę“ poległym synom.

Tylko, że to wygląda na rachunek, do pokwitowania sporządzony dla Historii.

Szlachetny heroizm nie odsłania swoich ran i nie przechwala się nimi; wystarcza mu wieniec z lauru na skroni.

Wzdłuż granicy niemiecko-francuzkiej, przy zachodzie słońca, snuło się przed memi oczyma jakieś widmo tajemnicze i straszne.

Na karym, rozkielznanym koniu jechał olbrzymi kościotrup z długą dzidą w rękę i z pustych oczodołów rzucał ponure spojrzenia w jedną i drugą stronę.

Stuck wymalował na jednym ze swoich obrazów takie widmo, a ja je widziałem oczyma duszy na polach Mars-la-Tour i Rezonville'u, w cichy letni wieczór, jak odbywała straż graniczną, sunąc się ciężkim, powolnym krokiem wśród krzyżów i grobów pomiędzy szumiącymi łanami zbóż...

Słońce zachodziło tak krwawo, jak gdyby dotąd nie zgasły łuny pożarów i strumienie krwi płynęły jeszcze po tych polach, a w wieczornej ciszy unosiły się nad ziemią rozgwarry tajemniczych głosów, szcęk broni, jęki rannych, westchnienia konających, zgłuszony ryk armat i warczenia bębnow kirem pokrytych.

Tego wieczoru nie zapomnę chyba już nigdy... i nie daj mi go zapomnieć Boże!

Quis.

(Ciąg dalszy nastąpi).



spełnione moje posłannictwo, aby wreszcie raz spocząć po trudach. Bo ciężko jest żyć samotnie, jako orzeł na skale, a jeszcze ciężiej jest ukazywać zawsze ludowi twarz spokojną, nawet wówczas, gdy duszę ogarnia zwątpienie. Jam raz tylko zwątpił o dobroci Elohima i za to nie wnijdę, zarówno jak i ty, do ziemi Obiecanej. Azali myślisz, że dusza moja mało cierpi, gdy widzę, czem lud ten stanie się, gdy ja go rzucę? Oto teraz póki ja żyję, jest opornym Panu, jakoż więcej po śmierci mojej?...*)

Umilkł prorok, i nagle wyraz jego oblicza stał się groźnym, jak gdyby ujrzał wyraźnie wszystkie zbrodnie i występki Izraela, ale nie rzekł nic o tem Miriamie. Może go wstrzymała litość nad umierającą i nie chciał jej zamącać pogody chwil ostatnich. Rzekł tedy, kładąc rękę swą na jej głowie:

— Pokój niech będzie z tobą, Miriam, boś wiele cierpiała, patrząc na lud izraelski. Oto niedługo już Pan zakończy jego tułactwo i Izrael wnijdzie do ziemi Obiecanej, której oczy nasze nie ujrzą. Ale my pójdziemy do innej krainy, kędy już walk, ani zwątpień nie będzie. Powstaną jeszcze kiedyś w Izraelu inne prorokinie, podobne tobie i będą głosiły ludowi tajemnice Pańskie i będą go wiodły do dobrego i dlatego niewiasta będzie szanowana przez synów izraelskich. Aż kiedyś z pośród waszego rodu wyjdzie ta, która da światłość ziemi całej...

Umilkł Mojżesz, bo ujrzał, że Miriam wydaje już ostatnie tchnienie, — lecz oblicze jej było pogodne i rozjaśnione uśmiechem, jak gdyby przed wzrokiem jej roztoczyło się jakieś cudowne widzenie, które ją uniosło w zaświaty. Gdy skończyła, Mojżesz zamknął jej oczy i przywołał niewiasty, by się zajęły zmarłą, sam zaś wyszedł z namiotu i skierował swe kroki do stóp góry.

Szczyt Synai, tak jak wtedy gdy Mojżesz spotkał Miriam w wąwozie Horeb, płonął ogniami zachodu. Mojżesz począł wstępować w górę, ale czuł się więcej, niż kiedy znużonym i samotnym. Gdy odeszła ta jedyna dusza niewieścia, która choć trochę go rozumiała i po części dorównywała mu swą mocą, wówczas pojął, że od dziś dopiero stanie się naprawdę osamotnionym i zaczął tęsknić za spoczynkiem.

— Ona odeszła pocieszona, bom jej nie odkrył w ostatniej chwili, czem się stanie Izrael w przyszłości, ale któż z pośród ludzi mnie pocieszy, gdy będę umierał? — zapytywał siebie, wstępując coraz wyżej. A stanawszy na wyniosłości, zkąd widać było cały obóz izraelski, pomyślał, że całe życie był jak teraz, wzniesiony jakoby na wysokiej i pustej skale, zdala od innych ludzi, którzy go zrozumieć nie mogli. Z oddalenia dochodził go odgłos pieśni pogrzebowych, spiewanych przez chór niewiast nad zwłokami Miriam. Już po całym obozie rozeszła się wieść o śmierci prorokini i ze wszystkich stron biegły tłumy, płacząc i zawodząc głośno.

— Miriam, tyś szczęśliwa, — odeszłaś już z tej ziemi i zostawiasz żal po sobie, — rzekł Mojżesz, przyglądając się czas jakiś temu widokowi.

Poczem odwrócił się i począł znów wstępować na szczyt góry i wkrótce wyniosła jego postać znikła w słupie obłoku, który, jak chwala, otaczał wierzchołek Synai.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jan Stanisław Mar.

BLADA JESIENIA.

SZKIC DRAMATYCZNY W 1-ym AKCIE.



(Ciąg dalszy).

SCENA II-ga.

Stefan i Witold, potem Wirski.

Witold wchodzi przodem sceny z lewej strony, za nim Stefan, który staje napół ukryty w kulisie. Witold trzyma na ręku pleś podróżny, który kładzie następnie na jednym z krzesełek ogrodowych.

Stefan (w kulisie).

Czekać nie potrzeba, koni na powrót dostaniemy ze dworu. (wchodzi) Więc z tego całego chaosu zrozumiałem tylko jedno: mianowicie, że przywoziłeś mnie tu z sobą po to, żebym odegrał rolę piorunochrona. Chciałbym jednak raz w końcu wydostać z ciebie coś bardziej jasnego, coś coby mi choć cośkolwiek powiedziało. Więc możebyś mnie wreszcie objaśnił w krótkich słowach, jak i co?

Witold.

Ależ zmiłuj się człowieku, tutaj, teraz?

Stefan.

Uważasz, że tu nie miejsce?

Witold.

Naturalnie, mogą przecież lada chwila nadejść. Zrób tylko to, o co cię prosiłem, szczególnie przy pierwszej sposobności.

Stefan (rozglądając się wokoło)

Tymczasem nikt nam nie przeszkadza... Mogłeś to przecież w wagonie załatwić, ale potrzebny był ci koniecznie Olewicz!... Człowiek nas nie widzi, siada na drugi koniec pociągu, a ty go gwałtem pchasz do naszego przedziału.

Witold.

Czy żałujesz?... Słyszałeś, jak ten człowiek mówi? Słyszałeś, jak on cudownie scharakteryzował Griega? Jabym go całymi godzinami słuchał; jaka barwa w obrazowaniu, jakie odczucie, co za żywość niezwykła, jakie indywidualne porównania!... Naprzykład pieśni...

Stefan.

No dobrze, dobrze... A jednak ja w dalszym ciągu ciemny jestem, jak tabaka w rogu. (rozgląda się). Ale możemy, zdaje się, zupełnie śmiało mówić, wygląda tu jakoś, jakby niktogo w domu nie było. (pauza) Jednak z ciebie skryty pan... Żyjesz niby ze mną, a ja pojęcia nie miałem, że podtrzymujesz stosunki z Wirskimi.

Witold.

Podtrzymujesz stosunki! Mogłeś chyba wynioskować z listu starego, jak je podtrzymuję.

Stefan (gniewnie)

No tak, ale z tych paru słów, coś mi zdążył powiedzieć, widzę, żeś dziewczynie zupełnie seryo głowę zawrócił... No, wiesz, że ja nie umiem tego inaczej nazwać, jak świństwem, a zważywszy na okoliczności — łajdactwem!

Witold (gorąco)

Właśnie, gdybyś potrafił wnikać w okoliczności, gdybyś je zrozumiał, cofnąłbyś z pewnością to, coś powiedział!

Stefan.

Cóż mogło być takiego? Cóż tu jest takiego niezrozumiałego, niedoścignego, takiego extra-subtelnego?... Wyjechałeś z Wirskimi do Włoch, jako przyboczny lekarz, któremu nawiasem powiedziałeś, ta propozycja, ze względu na stan kieszeni, spadła, jak manna niebieska, bawiłeś więc z nimi jako lekarz, zawróciłeś pacjentce głowę, jak kochanek, a potem postąpiłeś, jak...

Witold.

Ależ Stefanie, zmiłuj się! Czy sądzisz, że to robił z premedytacją?

Stefan.

Tak, tak sądzę! Zbierałeś może materiał do powieści, do poematu, do tragedyi, do operetki, Bóg cię wie, do czego — słowem, czyniłeś na niej, na suchotnicy, studia psychologiczno-erotyczne!...

Witold.

Na każdej, tylko nie na niej... Czekał; poznasz ją, powiesz wtedy sam, czy poważałbym się na coś podobnego z dziewczyną, której dusza jest tak cudownie biała, taka kryształowa, taka subtelna, jak barwa konchy perłowej!... Zrozum przecież: to nie kobieta, tu zwykła miłość, najszlachetniejsza nawet, musi być wykluczona, tu niema mowy o uczuciu, które się mierzy skalą przykładaną nawet do miłości!... Czyż mogłem nie uledz!... Wyobraź sobie dziewczynę skazaną na śmierć i tak niezwykle piękną! Taką przedziwną cielesnie i duchowo... Zdawało mi się nieraz, że ona dla tego właśnie żyć nie może, niema warunków do egzystencji, bo stałaby się niezwykłym zjawiskiem, a życie nie znosi niczego, wybijającego się po za granicę przeciętności... Ona jest taka jakaś przejrzysta, taka spokojnie promieniująca!...

Stefan.

Ależ, ty ją kochasz... Nie przecz!...

Witold.

Mówiłem ci, że niema tu mowy o zwykłej miłości. Nie można przecież tak kochać Madonny Sykstyńskiej, nie można kochać Laokona, ani nie można stosować zwykłego uczucia miłości — miłowania, do wielkiej, wzniosłej idei... Jest to jakieś uwielbienie czegoś wyższego, nie materialnego, niepojętego nawet, cześć, podziw, a zresztą, bo ja wiem!... Wyobraź sobie teraz naturę południa, do której od dzieciństwa tęskniłem, i nareszcie oczy moje zobaczyły to bogactwo kolorów, ten przepych roślinny, przejrzystą tafłę lapis lazuli Adryatyku — i na takim tle — ona! Nadmiar życia, bujna, soczysta, wiecznie zielona wiosna i ten wspaniały kontrast, ona smutna, blada, zachodząca jesień... Przysięgam ci, że

*) Deut. XXXI, 27.

byłem z nią szczery, że ani jedno słowo fałszu nie wybiegło z ust moich!... Widzisz, wobec prawdziwego piękna kłamać nie można. Nikt się nie ośmieli!...

Stefan.

No tak, dobrze. Wierzę w to wszystko, co mówisz i po części nawet rozumiem. Znając cię, wierzę w zupełności w szczerą twoją, ale jednak ta niematerialna zjawa zakochała się w tobie, jak zwykła kobieta, a ty?...

Witold.

Co ja?

Stefan.

Jakto, czyś ty tego nie widział?

Witold.

Zauważyłem to dopiero po przyjeździe... Widzisz, owa precudna pieśń włoska uczyniła mnie ślepym: krajobraz, ona, te wieczory razem spędzane na tarasie wychodzącym na morze... ona tak pięknie gra Chopina, tak go odczuwa — wszystko to stopiło się w sen, w mgliste niebieskie mamidło, które srebrzysty tuman jakiś przysłał przedemną... Dopiero, gdyśmy przyjechali, zrozumiałem.

Stefan.

I wtedy?

(Chwila milczenia).

Stefan (dalej)

Dlaczegoś się nie wycofał natychmiast, dlaczego dalej podtrzymywałeś stosunki, pisywałeś, jeździłeś?

Witold.

Nie mogłem. Nie mogłem... no wprost, jako lekarz nie mogłem... toby ją zabiło.

Stefan.

Więc....

Witold.

Przytem... (pauza) Czy ty możesz pojąć, co to znaczy świadomość, że życie ludzkie jest w twoich rękach, w twojej mocy, że jakaś niepojęta potęga oddała ci we władanie życie człowieka! Że ty, ty jesteś i panem i eliksirem podtrzymującym je, że jesteś mocen jednym tchem zdmuchnąć ten chwiejny, blade płomyk, lub podtrzymać go, rozjarzyć nawet...

Stefan (surowo)

A czy teraz mocen jesteś? Czy pomyślałeś, co stanie się teraz z tym płomykiem?...

(Chwila milczenia).

Witold.

Boże, ja głowę tracę... Widzisz, pragnąłem z całej duszy zapewnić jej szczęście, zawiodły mnie tylko moje wiadomości fachowe... Sądziłem, że życie Janiny obliczyć można na tygodnie, bo było z nią bardzo źle, gdyśmy wyjeżdżali, no, w najpomyślniejszych warunkach na miesiące, chciałem, abym to życie ja jej dał, bo to była jakaś dziwna rozkosz... Widziałem, że ta dziewczyna mną tylko żyje... (szepem) taki jakiś niewysłowny nastrój był w tem wszystkim...

Stefan.

Nastrój, nastrój! Ha, ha, ha!... Teraz rozumiem!... Więc żeby wytworzyć sobie kontrastimmung, związałeś się z Heleną, i te dwa nastroje spowodowały trzeci nastrój... Wiesz, że tak zwanym nastrojem można wytłumaczyć wszystko: nastrój morderstwa, nastrój

kazirodztwa, bestyalizmu, nastrój podpalania... masz Nerona, nastrój...

(Wirski ukazuje się na werandzie).

Wirski (do Józefa)

Więc listów nie ma? (sposztrzegłszy Witolda i Stefana, szybko schodzi ku nim) Witam, witam kochanego doktora! Nareszcie, drogi panie Witoldzie! Czyż to się godzi tak zapominać o pacjentach? Tyle czasu, tyle czasu!...

Witold.

Pracowałem nad doktoratem... Pozwoli pan, że mu przedstawię kolegę, także lekarza...

Stefan.

Skarski.

Wirski.

Bardzo mi miło...

Witold (kończąc)

Specjalista od chorób piersiowych... A jakże się miewa panna Janina?

Wirski.

Właśnie zwywałem kochanego pana, żeby ją pan zbadał. Braun radzi niezwłoczny wyjazd, a Jania się uparła i za nic! Pewny jestem, że pan kochany zdoła ją do tego nakłonić, ona ma do pana takie [niezłębione] zaufanie... Mój kochany panie Witoldzie, niech się pan wszystkimi siłami postara, niech to pan zrobi dla ojca, dla człowieka, który prócz tego jedynego dziecka... bo gdyby... (urywa wzruszony, ściskając oburącz dłoń Witolda) Panie Witoldzie, panie Witoldzie...

Witold.

Ależ panie Kazimierzu, po co te prośby, wie pan, że jestem domowi pańskiemu całą duszą oddany; postaramy się ze Stefanem wszelkimi siłami skłonić pannę Janinę do wyjazdu.

Wirski.

Moi panowie, moi kochani panowie... to ja w takim razie pójdę zawiadomić Janię o pańskim przyjeździe, o przybyciu panów. Ucieszy się dziecko, nie wiem tylko, czy nie spi, bo noc miała bardzo niespokojną, przytem długi czas siedziała na powietrzu... Możeby panowie do pokojów?...

Witold.

Wolelibyśmy, tu, takie piękne słońce...

Wirski (idąc ku drzwiom)

Nie wiem tylko, czy nie spi. (wchodzi).

Witold.

Niech pan w takim razie nie budzi, sen jest dla niej zbawienny.

Wirski (we drzwiach)

Broń Boże, wiem, wiem, niech spi. Panowie przecież nie na dzisiaj tylko? (znika w pokojach).

Witold (półgłosem spiesznie)

Więc pamiętaj... Zaklinam cię na wszystko, nie dopuść, żebym został z nią sam. Nie odchodź, gdybyś nawet uważał, że towarzystwo twoje jest dla niej przykre. Proszę cię, Stefek, zrób to dla mnie, widzisz sam, że w ostatnich czasach starałem się, jak ty mówisz, wycofać: nie pisywałem, przestałem dojeżdżać i dzisiaj pragnę wyraźnie zaznaczyć, że przyjechałem tu tylko w roli lekarza. Więc proszę, nie zostawiaj nas samych.

Stefan.

Pyszna rola!...

Witold.

No proszę cię... A powtóre, wiesz już: upoważniam cię do powiedzenia staremu wszystkiego, rozumie się, będziesz udawał, że nie wiesz nie o tem, co łączy nas z Janką, zaznaczysz tylko, to tak, mimochodem, że ja żenię się, rozumiesz, jak gdybyś przypuszczał, że Wirski wie o tem. Bo widzisz, niech ojciec wie, ale ona nie powinna się o tem teraz dowiedzieć, nie może. (widząc ukazującego się na werandzie Wirskiego) Zaklinam, zrób, o co proszę...

Wirski (zbliża się ku nim)

Spi, nie budziłem jej jej, ale panowie zostaną chyba dłużej?

Witold.

Panie Kazimierzu na żaden sposób. Na Stefana czekają pacyenci, a ja kończę doktorat i w ogóle ogromnie jestem zajęty, (po chwili) dowie się pan o tem wkrótce.

Wirski.

Pewno jakieś doświadczenia naukowe, odkrycie, pan pracował nad surowicą przeciwgruźliczną...

Witold.

Wkrótce, wkrótce się pan dowie... A teraz chciałbym się umyć, czy mógłbym prosić...

Wirski (idąc ku werandzie)

W tej chwili, w tej chwili będzie woda (do Stefana) to możeby i pan doktor?...

Witold (spiesznie)

Nie, ty chyba nie chcesz... Ja muszę oczy przemyć, bo mi kurz ogromnie szkodzi.

Stefan.

Nie, rzeczywiście, dziękuję panu.

Wirski (z głębi werandy)

Przyszykujesz panu doktorowi wody do mycia.

Witold mimicznie błaga Stefana o załatwienie sprawy jego, poczem przepuszczony przez Wirskiego, wchodzi na werandę i znika w głębi. Wirski wraca do Stefana.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z listów do „Bluszczu.”



Druskieniki, w Sierpniu.

„Miło słać obcych, lecz swoich najmiej,” taka parafraza nasuwa mi się pod pióro, gdy zasiadam dla skreślenia moich wrażeń z pobytu w Druskienikach. Wiemy o nich bardzo mało, sama sobie darować nie mogę, że poznałam je tak późno, a chcąc ten błąd powetować, pragnę zachęcić innych do szukania spokoju, zdrowia i miłych wrażeń w nadniemeńskim „uzdrowisku.” Zasługuje ono ze wszech miar na to miano, a nie tylko dlatego, że posiada źródła mineralne, zawierające własności lecznicze, ale i dla pięknej natury, dla nadzwyczajnego bogactwa i różnorodności drzew, dla ożywczego powietrza, które samo przez się jest najlepszym lekarstwem. Każda willa otoczona wiankiem cienistych lip, klonów; obok prawdziwie niebotycznych topoli, srebrzą się brzozy, zielenią dęby, kasztany, koralem swych owoców czerwienią, niezwy-

kle duże jarzębiny; na tle drzew liściastych, jodły i sosny kładą swą ciemną zielen, a wśród sosen, olbrzymim rozmiarem odznacza się sędziwa „Prababka,” która podobno już od paru stuleci nad wyniosłym brzegiem Niemna stoi. J. I. Kraszewski szukał jej cieniu. Mogłaby opowiedzieć, jak tu się krzątali różni ludzie około urzędzenia i ozdobienia Druskienik, jak szczerze pragnęli wyzyskać to, co dała natura.

Duże zasługi w tym względzie położył długoletni kierownik zakładu, d-r Pilecki, poświęciwszy temu celowi pracę gorliwą, zabiegi serdeczne i skuteczne (zm. w r. 1864-ym). Wielką dbałość o Druskieniki okazywał także zmarły w r. 1879-ym d-r Wolfgang. Obaj pochowani są na miejscowym cmentarzu. Od ich śmierci zmieniło się wiele. Przedewszystkiem na miejsce starych, które były wzniesione w r. 1885-ym, a spłonęły w r. 1902-im, zbudowano nowe łazienki z materiału ogniotrwałego i urządzono je odpowiednio do dzisiejszych potrzeb. Restauracya w kursalu, znajdująca się pod dozorem lekarza zakładowego, dostarcza obiadów smacznych i zdrowych po 50—70 kop.

Zarząd ma też pod swą opieką parę własnych willi i dwa hotele, z których jeden urządzony jest jako pensjonat. Po za tem kuracjusze mieszczą się po willach prywatnych, rozrzuconych na znacznej przestrzeni. Są one drewniane, bezpretensjonalne, z obszernymi werandami przy każdym pokoju; jest też kilka bardzo ładnych, między innymi: pp. Janowstwa Kiersnowskich, pani Jeleńskiej, d-ra Erbsteina, pp. Adolfowstwa Kiersnowskich — jedyna, nosząca nazwę specjalną Katriwille, po za tem wszystkie mianowane są według nazwisk właścicieli, co utrudnia zadanie listonoszów, a to tembardziej, że willi Kiersnowskich jest kilkanaście.

Druskieniki od lat trzech należą do Towarzystwa akcyjnego, w którym największe udziały posiadają: dyrektor wileńskiego Banku ziemskiego p. Montwill i p. Adolf Kiersnowski, akcyje przynoszą 6—7% dywidendy, ale akcyonariusze, ożywieni poczuciami obywatelskimi, nie mają na celu zysków osobistych jedynie, pragną oni, aby zakład odpowiadał wymaganiom nowoczesnym.

Dużo się robi w tym względzie, ale dużo jeszcze jest do zrobienia. Należałoby zaprowadzić wodociągi po domach, jaśniej oświetlić i ożywić Druskieniki. Obecnie, skutkiem braku rozrywek, ściągają one przeważnie osoby niemłode i dzieci. Dla jednych i drugich są rajem. Ale z choremi matkami przyjeżdżają też czasem i zdrowe córki, z babciami — wnuczki, z młodem rodzeństwem — siostry dorosłe, a te pragną nie samego tylko świeżego powietrza i kąpieli. Trzeba uwzględnić młodzież i czynić zadość żądaniom, które ona uważa za potrzeby. Samo położenie Druskienik ułatwia działalność w tym kierunku. Można organizować śliczne spacery piesze i wycieczki Niemnem, uroczę majówki w parowach, nie mówiąc już o reunionach; te i dziś się odbywają, lecz pozbawione są *aranżerów*, którzyby umieli zapoznać i łączyć towarzystwo. Dyrektor zakładu, p. Sikorski, ma tyle różnorodnych zajęć (którym, mówiąc nawiasem, stara się sprostać gorliwie i umiejętnie), że na urządzenie zabaw czasu mu braknie, do ożywienia ich mogłoby się przyczyniać studenci, sprowadzani tu dla dozoru nad sztabem kąpielowym i nad przestrzeganiem porządku w parku i fermie zakładowej.

Tak było, tak jest i takby być mogło, a miejmy nadzieję, że tak będzie w Druskienikach.

Miałam właśnie wyprawić niniejszą korespondencyę do redakcyi, gdy nadszedł ostatni numer (33-ci) „Bluszczu” z pogawędką Kazimierza Glińskiego. Pisząc o Nałęczowie, lwią część felietonu poświęca bawiącemu tam Prusowi. Kto zna autora „Placówki,” tego

nie żdziwi przytoczony rys jego wysokiego poczucia sprawiedliwości; kto go nie zna, ten z przyjemnością i pożytkiem wyczytał ów charakterystyczny szczegół z życia wielkiego człowieka. Dlaczegooby słać cnoty prywatne naszych wielkich dopiero po ich śmierci, czemu nie zajrzeć w głąb ich serc, bijących żywym tętnem miłości dla kraju i społeczeństwa?

Powtarzanie dowcipnych słówek i anegdot, może zainteresować ciekawość tłumu, ale podnieść i pokrzepić ducha może i powinien obraz dusz wzniosłych. „Za przykładem bogów” w mojej korespondencyi z Druskienik choć kilka słów pragnę poświęcić bawiącej tu Orzeszkowej, będąc pewną, że czytelniczki nasze bardziej są spragnione dowiedzieć się coś o niej, niż o samych Druskienikach.

Autorka „Nad Niemnem” strudzona 38-letnią pracą, przybyła tu dla nabrania sił do dalszej, i zamieszkała w miłym dworeczku na uboczu, wśród zieleni. Tu w godzinach popołudniowych schodzą się znajomi i obcy dla złożenia hołdu wielkiej autorce i zacnej kobiecie.

Wszyscy idą ze wzruszeniem, nie jeden z lękiem, ale po paru minutach rozmowy, każdy czuje się swobodnym, bo Orzeszkowa swoją naturalnością, prostotą i dobrocią każdego ośmiela, sprowadza rozmowę na tory dla wszystkich dostępne, ale napróżno sili się być *zwyczajną* kobietą, każde jej słowo, nawet o rzeczach powszednich, jest dobre, wielkie, rozumne, każdy temat mimo jej własnej woli, w ustach jej nabiera znaczenia, taka to już właściwość tego niepospolitego umysłu i tej bogatej natury, uposażonej nie tylko nadzwyczajnym darem pióra, ale i niemniejszym darem słowa; jej opowiadań słucha się tak, jak się czyta „Nad Niemnem” i „Pieśń przerwana,” z większym może nawet przejęciem, bo dodaje im jeszcze uroku głos prześliczny i oczy pełne młodzieńczego ognia i zapału. Pomimo lat 69-iu, wyczerpującej pracy i ciężkich prób życiowych, Orzeszkowa jest młodą, obchodzi ją wszystko na świecie i natura i ludzie, a już najwięcej każdy ból, każde cierpienie.

Nie są one dla niej przedmiotem obserwacji autorskich, ale ją przejmują współczuciem serdecznym, a że jej dobroć ośmiela, więc nie jeden, mało nawet znany, do skarbnicy jej serca wlewa swe lzy gorące, które ona koi słowami serdecznego współczucia i prawdziwie chrześcijańskiej mądrości. Bo jest chrześcijanką w najszczytniejszym tego słowa znaczeniu, takim, jakie sam Chrystus nauce swojej nadawał, ma dla ludzi miłość i przebaczenie, ma w duszy gołębią prostotę i skromność wielkich umysłów.

Promienie jej sławy nie oslepiają, lecz grzeją, talentem swym pragnęłaby zdobywać nie laury dla siebie, lecz dobro i piękno dla bliźnich, a całe jej życie prywatne dążyło zawsze i dąży do osłodzenia życia bliższym i dalszym, to też dziś nie posiadając już najbliższych, otoczona jest obcymi wprawdzie krwią, lecz pokrewnymi duchem; więc pomimo krzyżów cmentarnych, które naznaczyły jej ciężką i pracowitą wędrówkę, samotną ona nie jest, a słodka rezygnacya opromienia jesień jej żywota, która tylko dla swej owocności, dla przebytych lat i cierpień, *jesienią* nazwana być może, bo w sercu tej nadzwyczajnej ze wszech miar kobiety, kwitnie wiosna z całym swoim czarem, wdziękami i krasą.

I oto w tej chronologicznej tylko jesieni swego życia, ta nasza wielka i ukochana zapragnęła ujrzeć Druskieniki, znane jeszcze w młodości, a gdy tak w cieniu „Prababki” zażywa wczasów, stara sosna, dziś tej naszej najdroższej głowie powtarza do ucha słowa czci, jaką ją społeczeństwo darzy. A Niemen szumi i szepce słowa gorącej miłości dla tej, która spędziwszy całe życie nad jego brzegami, słała je pieśnią natchnioną i uczyła

kochać jego fale, jego łąki i lasy, jego zbożne pola i ręce, strudzone ich uprawą.

E. Żm.



Kronika działalności kobiecej.



— Szkoła dla pracownic.

Niedawno założona przez p. Kamillę Rybkową szkoła jednoklassowa dla dorosłych dziewcząt, od razu zdobyła sobie uznanie wśród robotnic, które pragną nauczyć się czytać, pisać i pierwszych czterech zadań arytmetycznych. Liczba uczennic, aczkolwiek powoli, stale się jednak powiększa, co jest najlepszym dowodem, że tego rodzaju zakład był rzeczywiście potrzebny.

Lekcyje w szkole pani Rybkowej odbywają się w każdą niedzielę i święto za kop. 50 miesięcznie. Wykład obejmuje zakres jednoklassowych szkół rzemieślniczych.

— W roku bieżącym na wydziale literackim w Sorbonnie, świadectwo ukończenia kursów, „Certificat d'études françaises,” otrzymały następujące Polki pp.: Anna Dąbska, Felicja Doberska, Zuzanna Nejmanowiczówna, Adela Prusakówna, Zofia Różańska i Adela Szatnerówna.

— Austro-Węgry. Od czasu dopuszczenia kobiet na fakultet medyczny przy Peszteńskim uniwersytecie, 9 kobiet z wielkiem powodzeniem złożyło egzaminy. Większość tych doktorek, znalazła w szpitalach albo przytułkach dla dzieci stałe posady. Przed niedawnym czasem, doktorka, panna Irena Markbreiter została lekarzem w największym Peszteńskim szpitalu. W miejscowościach kuracyjnych spotykamy takie doktorki, ordynujące z powodzeniem. W „Bártfa,” kąpielach specjalnych dla kobiet, ordynuje doktorka, panna Ilona Györy, w Teplicach (Trencsen-Teplicz) w wyższych Węgrzech, dużą praktykę zdobyły dwie austriackie doktorki.

— Niemcy. Ukazał się plan nowej, reformowanej szkoły dla dziewcząt, ułożony i opracowany przez sekcję szkół wyższych, pozostającą przy „Stowarzyszeniu nauczycielskim ogólnoniemieckim.” Plan został już zatwierdzony przez władze, a bliższych objaśnień udziela przewodnicząca Sekcyi szkół wyższych, panna Pöhlmann. — Tilsit — Fabriken-strasse Nr 41.

— Stany Zjednoczone. Wielką zasługę w polepszeniu bytu sług w Stanach Zjednoczonych położyła grupa wybitnych kobiet, które założyły w Nowym-Yorku specjalne stowarzyszenie „Womens Domestic Guild.” (schronienie domowych służących). Pismo poświęcone sprawom kobiecym „World of Wemen Work,” (świat pracy kobiecej), podaje w sprawozdaniu z wyżej przytoczonego stowarzyszenia, że biuro pośredniczenia w wyszukiwaniu pracy, przy stowarzyszeniu założone, w ciągu jednego tygodnia umieściło 430 służących, poszukujących zajęcia. Działalność instytucji nie ogranicza się jedynie do Nowego Yorku, lecz ma filialne biura w różnych stronach Stanów i umieszcza służące na Zachodzie, Południu i Wschodzie aż do Stanów Maine i Kanady.

Dla służących, które są uczestniczkami instytucji, urządzono w gmachu, w którym się ona mieści, wielką salę z czytelnią i biblioteką z odpowiednich dzieł złożoną.

Wielkiem powodzeniem cieszą się wieczorne kursy kucharstwa i różnych innych gospodarskich zajęć, jakie stowarzyszenie dla swych członkiń otworzyło.

Jak rzetelne instytucya oddaje społeczeństwu usługi, dowodzą liczne, dziekczynne listy, napływające tak od służących, staraniem

instytucji umieszczonych, jak i od pań, które przez biuro instytucji służące otrzymały.

Z. S.

Nasz ul.

— „Ognisko domowe.“ Zarząd warszawskiego Towarzystwa ochrony kobiet zwrócił się z podaniem do Rady miejskiej dobroczynności publicznej o pozwolenie otwarcia jeszcze jednego Ogniska domowego dla kobiet samotnych wyznania katolickiego. Rada odesłała podanie do władzy wyższej.

— W mieście naszym powstały Kursa wieczorne dla rzemieślników żydów, założone przez ich współwyznawców. Jedna szkoła istnieje przy ulicy Nizkiej n-r 37, druga na Grzybowskiej n-r 28. Liczba uczniów dosięga obecnie 300 osób. Większość uczniów pierwszej szkoły kształci się w warsztatach rzemieślniczych przy ulicy Stawki, innymi opiekuje się wydział sierot Towarzystwa „Pomocy bratniej.“ W pierwszej szkole (na Nizkiej) lekcje odbywają się we wtorki, czwartki i soboty od godziny 7 i pół—9 i pół wieczorem, w drugiej (na Grzybowskiej) w poniedziałki i środy. Przykład ten należałoby zastosować jak najszybciej dla chłopców-rzemieślników innych wyznań, pozabawionych umysłowego rozwoju.

— P. Anna Scheiblerowa, pod wpływem świeżej katastrofy, podjęła projekt utworzenia w Łodzi Kasy zapomóg dla rodzin członków straży, którzy ulegli nieszczęśliwym wypadkom. Inicytorka ofiarowała na rzecz tej Kasy, mającej powstać przy Towarzystwie akcyjnym K. Scheiblera, znaczny fundusz, jako kapitał zakładowy zaprojektowanej instytucji, której ustawa niebawem będzie przesłana do zatwierdzenia władzy.

Członkowie zatem straży Scheiblerowskiej lepiej na przyszłość będą zabezpieczeni, niż dotychczas, gdyż premia assekuracyjne Towarzystwa ubezpieczeń zbyt są niedostateczne.

Bardzo są też na dobie składki na rzecz rodzin ofiar katastrofy, do czego dał inicjatywę „Rozwój“, za którym poszły i inne pisma tamtejsze. Popłynęły też składki, wśród których najznaczniejszą złożył p. Karol Scheibler, ofiarowawszy na ten cel 500 rubli.

— Odbyta w łódzkim lesie miejskim zabawa ludowa na rzecz pozbawionych pracy, udała się w zupełności. Wynik jej finansowy dotychczas nie jest jeszcze wiadomy, ale o ile sędzić można z liczby sprzedanych biletów wejścia, z czego osiągnięto około 11,000 rubli, przedstawia się świetnie.

— Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie obchodzi 50-cio-lecie działalności. Ku upamiętnieniu tego zasłużonego okresu pracy, utworzoną zostanie wielka wystawa jubileuszowa prac współczesnych polskich malarzy.

Do przyjęcia w niej udziału Dyrekcya Towarzystwa zaprosiła wszystkich artystów polskich w kraju i za granicą i rozesłała im potrzebne formularze zgłoszeń.

Termin nadsyłania wypełnionych formularzy upływa z dniem 1-ym Września r. b., nadsyłania obrazów i rzeźb loco Kraków w dniu 15-ym Września r. b. Otwarcie wystawy nastąpi dopiero dnia 1-go Października, ponieważ jednak czynności przygotowawcze wymagają wiele czasu, Dyrekcya prosi o wczesne nadsyłanie zgłoszeń i zastrzega, aby artyści raczyli dopilnować wysyłki swych utworów na termin oznaczony. Adresować należy: Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie,—plac Szczepański l. 4.

— Towarzystwo popierania polskiej nauki rolnictwa

w Krakowie, rozesłało kwestyonaryusz w sprawie wyższego wykształcenia rolnego do wszystkich towarzystw i wybitnych jednostek, zajmujących się gorąco tą sprawą. Zaznaczywszy potrzebę przystosowania wykształcenia zawodowego do specjalnych warunków naszego kraju, inicjatorowie Kwestyonaryusza zwracają się z prośbą, aby wszyscy zechcieli wyczerpująco i dokładnie odpowiedzieć, stawiając zarzuty i wypowiadając własne zapatrywania, co do potrzeby reform i postępu na tem polu. Niektóre z wyższych szkół rolniczych zamierzają rozszerzyć zakres studiów teoretycznych do obowiązujących lat czterech.

Warszawskie Towarzystwo Rolnicze poleciło zredagowanie i opracowanie podobnego Kwestyonaryusza u nas pp. Grabskiemu i Górskiemu.

— W Październiku r. z. powstał we Lwowie tygodnik p. t. „Przemysłowiec“, poświęcony sprawom technicznym, przemysłowym i ekonomicznym. W ciągu krótkiego czasu swego istnienia rozwija się coraz pomyślniej, pod umiejętnym kierownictwem ludzi, mających na celu rozwój i poparcie przemysłu krajowego. Pismo ogłasza sprawozdania z wystaw i jarmarków, udostępnia fachowcom poznanie ulepszeń i wynalazków, dokonanych w dobie bieżącej, nadto, traktuje wszelkie dziedziny wytwórczości krajowej i zagranicznej. Trzeba dodać, że pismo to za opłatę 14-tu koron (14 rubli w kraju) jest bardzo starannie ilustrowane. Pożądanym także i racjonalnym jest dział informacyjny, objęty nagłówkiem: „Co i gdzie wyrabia się w kraju“, a także szereg pytań i odpowiedzi, rad i wskazówek technicznych, udzielanych tak prenumeratorom, jako też interesowanym.

Hygiena i pedagogia uwzględniane obecnie w życiu społecznym coraz bardziej, mają także dział sobie poświęcony. Dla nas najbardziej interesująca jest rubryka, zatytułowana: „Sprawy zawodowe kobiet.“ Spotykamy tam sprawozdania z warszawskich szkół zawodowych żeńskich; rysunkowej p. Amelii Conti i handlowej p. Józefy Siemiradzkiej; dalej ciekawe wiadomości o kształceniu kobiet w Ameryce, na koniec w numerze 43-im streszczenie interesującej książki Ernesta Legouvé: „Dzieje moralne kobiet,“ a raczej ustęp z niej, zatytułowany: „Jak wychowywać córki,“ omówiony w dowcipnym dialogu. W szeregu różnorodnych hasel emancypacyjnych i uświadomienia o potrzebie wyższego wykształcenia, nie od rzeczy może będzie przytoczenie zapatrywania, jakie autor wyraża przez usta jednej z osób dialogu. Jest to zdanie o kobietach piszących:

— „Najpewniejszym środkiem poskramiania w kobietach żądz pisania—jest wykształcenie. Czy sądzisz pan, że ich dzieła będą kiedy wynikiem prac i badań? Bynajmniej. Ich książki malują tylko ich ruchliwą i pozerającą beczynność, romantyczne podróże po oteplaniach duszy. Ich piórem nie kieruje wiedza, lecz wyobraźnia.“

A dalej mówi w kwestyi wykształcenia:

— „Im więcej kobieta jest istotą zmienną, wrażliwą skłoną do przerwania się z tą samą łatwością zarówno do złego, jak i dobrego, tem więcej dla przeciwwagi potrzebuje wykształcenia gruntownego i poważnego.“

I nie obawia się, aby przez posiadanie wiedzy, umysłowe jej władze przytępiły się, wypaczyl się jej charakter, aby zatraciła zdolność kochania.— „Stłumi się ich dusza?! Tak, dusza salonów, czułość sztuczna i chorobliwa. O, ta zamrze, wierzę w to i mam nadzieję, lecz dusza kobiet, dusza córek, żon i matek, ta znajdzie wzmocnienie i zasilek w badaniu potęg natury.“

Czy te słowa nie dałyby się zastosować również dobrze w naszych warunkach? Czy u nas nadszedł już czas na taki zwrot duszy, duszy kobiecej? Wartoby się nad tem zastanowić.

Tymczasem zaczawszy od scharakteryzowania działalności nowego tygodnika technicznego we Lwowie, kończę na... duszy.

Po kobiecemu.

— Dnia 9-go Października r. b. odbędzie się poświęcenie i wmurowanie tablicy pamiątkowej w kaplicy na Kahlenbergu pod Wiedniem, w celu uczczenia pamięci Sobieskiego.

— Dnia 30-go z. m. w polskiej szkole w Paryżu odbyło się uroczyste rozdanie nagród pod przewodnictwem d-ra Ksawerego Gałęzowskiego. Jako prezes d-r G. podziękował publicznie nauczycielce, p. Annie Dybowskiej, za prowadzenia młodszych uczniów szkoły, poczem pp. Gasztowt i Dybowski odczytali odznaczenia, otrzymane przez uczniów w samejże Szkole, w liceum Condorceta, w gimnazjum Chaptala i Szkole sztuk dekoracyjnych. Następujący uczniowie zostali odznaczeni: Bolesław Żurkowski, otrzymał nagrodę od ministerium oświaty; Grabiński, Zborowski, Misieliński, Pluciński i Konarzewski. Trzech uczniów uzyskało świadectwa dojrzałości. Nagrodę imienia Dunin-Wasowicza otrzymał Bolesław Żurkowski.

— Jak donosi „Kuryer Poznański,“ oprócz Modliszowa, w ostatnich czasach przeszły na własność Komissji kolonizacyjnej z rąk niemieckich następujące majątki, w powiecie Gnieźnieńskim: Witakowice, Gulewo pod Klekkiem, Skierczewo i Polska Wieś. Ostatnią sprzedał komissji rząd, która teraz posiada już większą część powiatu.

— „Allg. Tischler Zeitung“ podaje do wiadomości nowy, a bardzo łatwy sposób intarsji drzewnej. Da się on osiągnąć z własności promieni słonecznych, nadających drzewu barwę brunatną. W tym celu wzór ornamentu wycięty z kartonu lub cienkiej blachy, przytwierdzamy na drzewie i wystawiamy je na działanie słońca w przeciągu 8—14 godzin. W tym czasie powierzchnia nieosłonięta ściemnieje, nabierze barwy brunatnej, a cały deseń pozostanie biały. Lekkie wykończenie i podcieniowanie konturów przyczyni się do uzupełnienia całości. Drzewo jodłowe i świerkowe, a także limbowe, którego już trudniej dostać, doskonale się nadają do tego rodzaju intarsji.

— Dnia 21-go b. m. zmarła w mieście naszym ś. p. Paulina z Schoslandów Skiwska, obywatelka, przeżywszy lat 57. Zmarła była wdową po ś. p. Emilu Skiwskim wydawcy „Przyjaciela Dzieci“ oraz „Tygodnika mód i powieści,“ a matką p. Jana Skiwskiego, znanego w szerokich sferach towarzyskich, jednego z dyrektorów Towarzystwa akcyjnego S. Orgelbranda Synów.

ODPOWIEDZI.

— *Prenumeratore.* — Przy tej ilości rycin, jaką podaje „Bluszcz,“ łatwo Szan. pani znajdzie wskazówkę, jaki krój odpowiedni jest na suknię czarną, wizytową i każdą inną. W każdym razie na bliżki już sezon jesienny podamy w dodatku szczegółowy przegląd mód.

— *Pani W. W. 75,009.* — List na poczcie.

Treść numeru:

Najwyższy Manifest.— Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy).— Quodlibet (pogawędka), przez Quisa.— Westchnienie (wiersz), przez Bożymira.— Ulamki szczęścia, przez Antoninę Morzkowską (ciąg dalszy).— Obrazy z przeszłości niewiast, przez Maryę Łopuszańską (ciąg dalszy).— Błądą jesienią, szkic dramatyczny w 1-ym akcie, przez J. St. Mara (ciąg dalszy).— Z listów do „Bluszcza:“ z Druskienik, przez E. Żm.— Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.— Nasz ul.— Odpowiedzi.— Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 4-ty „Robotnic w Stanach Zjednoczonych“ Van Vorst'a, w przedkładzie J. P.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 28). — Przepisy kuchenne.

OGŁOSZENIA.

Tylko przy pierwszorzędnej pracowni sukien można prędko i gruntownie nauczyć się kroju i szycia oraz nabrać gustu, dlatego, osobom interesowanym polecamy

Szkołę kroju i szycia

MICHALINY KOZŁOWSKIEJ

Mazowiecka 1, m. 4.

Kursy prywatne i cechowe oraz pensjonat dla przyjezdnych z najtroskliwszą opieką.

—>>> Ceny umiarkowane. <<<<<

W Zakładzie VI klasowym prywatnym żeńskim

MATYLDY KARWOWSKIEJ,
Elektoralna 47.

Zapis uczennic na 1904/5 rok szkolny rozpocznie się z d. 27 sierpnia. Egzaminacje dla nowostępujących i powakacyjne z d. 3 września, kurs zaś nauk z d. 5 września r. b.

W Zakładzie Naukowym VI-cio Klasowym z pensjonatem
z klasą przygotowawczą

MARYI GROCHOWSKIEJ

MIODOWA 1.

Zapis od 20 sierpnia. Egzamin wstępny 2 i 3 Września. Lekcje 5-go Września

W 6-cio klasowym Zakładzie naukowym żeńskim

MARJI MATUSZEWSKIEJ

przy ulicy Leszno Nr. 28, w Warszawie

Zapis uczennic odbywa się codziennie od 2—4. Egzamin wstępny od 3-go Września. Rok szkolny 5 Września.

Sanatogen

Środek wzmacniający nerwy i zasilający organizm
u dorosłych i dzieci.

Prawdziwy tylko **Bauera i Ski** w opakowaniu rosyjskiem.

Wstrzegać się bezwartościowych naśladownictw.



Broszury na żądanie bezpłatnie.

8. Karczewski, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.

Specjalny Magazyn Bielizny i Konfekcji Damskiej

L. GAŁKOWSKIEGO

138. Marszałkowska 138.

Poleca bieliznę w wielkim wyborze, jako też: Krawaty, Spinki, Laski, Parasole i wyroby trykotowe francuskie.  Najlepszy krój koszul męskich. 

ANNA JASIEŃSKA


przełożona VI-cio klasowego Zakładu naukowego z pensjonatem i klasą przygotowawczą

ulica Hr. Berga Nr. 8.

ma zaszczyt zawiadomić Szanownych Rodziców i Opiekunów kształcącej się młodzieży, że zapis na rok 1904—5 rozpocznie się 22 sierpnia. Egzamin 1, 2 i 3 Września. Kurs nauk 5 Września. Metryka i świadectwo szczepienia ospy wymagane.


Kroju wyucza gruntownie bez poprawek bardzo tanio najnowszym systemem teoretycznie i praktycznie w przeciągu 3—4 tygodni, właścicielka znanej firmy

„CHIC VARSOVIEN”

wykwintnej pracowni sukien wykwalifikowana krawczyca, dyplomowana przez Paryską Akademię Mistrzów Krawieckich.  Zgoda 6.

Nowo Otworzona Szkoła Handlowa Żeńska z Pensjonatem

JADWIGI BARSZCZEWSKIEJ

w SIEDLCACH  (Ogrodowa № 40).

Przyjmuje zapis uczennic i udziela na żądanie bliższych objaśnień. — Egzamina wstępne rozpoczną się 11/28 Sierpnia nauki zaś 21 Sierpnia/3 Września r. b.

PENSJA ŻEŃSKA z klasą wstępną

ANTONINY WALICKIEJ

w Warszawie, Krucza № 44.

Zapis uczenie do 25 czerwca, a po wakacjach od 15 sierpnia od 3-iej do 4-iej w dniu powszednie. Egzamin w 1 września. Lekcje rozpoczną się 2 września.

KURSY FREBLOWSKIE ze slöydem i rysunkiem

Zakład JADWIGI CHRZĄSZCZEWSKIEJ WARSZAWA, Nowy-Świat 21.

przyjmuje pensjonarki; Francuzka stale. Po skończeniu udziela świadectw, daje posady, lekcje. Ceny przystępne.

Szkoła Rękodzielnicza KAZIMIERY MACZYŃSKIEJ

cechowa dla kobiet

dawniej Mazowiecka 11, obecnie Ś-to Krzyżka 31 m. 7.

Przyjmuje pensjonarki, przychodnie, na różne rzemiosła; kwalifikuje na nauczycielki robot. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwa cechowe.

Niespodzianka dla Pań!



Nowo - wynaleziona maszyna „HAFTOGRAF” do artystycznego wyszywania, XX wiek tak bogaty w rozmaite wynalazki, i dla pań przyniósł iście piękną nowinkę „Haftograf”, za pomocą którego każda z pań, bez poprzedniego przygotowania i żadnego trudu może wyszywać na serwetach, dywanach, portjerach, poduszkach i t. p. rozmaite desenie. Robota bardzo przyjemna, nieszkodliwa dla wzroku, nie męczy organizmu. Za pomocą „Haftografu” można wyszyć w godzinę więcej niż ręką przez cały dzień. „Haftograf” zagra nicą tak jest rozpowszechniony, że prawie niema domu, gdzie by go nie używano. Stanowi to bardzo przyjemną rozrywkę

Cena z przesyłką rub. 4 kop. 85, za zaliczeniem 10 kop. drożej. Ilustrowany sposób użycia dołącza się bezpłatnie.

Piękne desenie w rozmaitych kolorach do haftu poduszek po 20, 25, 30 i 40 kop. sztuka, do haftu dywanów 40 kop. Prosimy się przekonać. Nie dla zarobku, lecz dla próby wartości „Haftografu” wysyłamy fantazyjny deseni w cenie 3 rb. na prześliczną poduszkę wyhaftowaną na dobrem kolorowym suknie.

Prosimy o odwołanie się na niniejsze pismo.

J. FRANCUZ, Królewska Nr. 49 P. w Warszawie.

W 6-klasowym zakładzie naukowym żeńskim

LEONII RUDZKIEJ

w Warszawie, Zielna 13,

egzamin wstępny i warunkowo promowanych uczennic 2 i 3 września (21 i 22 sierpnia). Kurs nauk 5 września (23 sierpnia).

W Zakładzie Naukowym Żeńskim z klasą wstępną i pensjonatem

Zofii z Wróblewskich Kurmanowej

prowadzonym na wzór

NORTH LONDON COLLEGIATE SCHOOL

KRUCZA 42.

Zapis uczennic codziennie od 1—3 i od 5—7. Egzamin 1-go 2-go i 3-go Lekcje 5-go Września.

Kancelarya Tow. Pszczelniczo-Ogrodniczego

(Warszawa, Wiejska 12)

przyjmuje zapisy kandydatów i kandydatek na

KURSY 2-LETNIE PSZCZELNICZO- OGRODNICZE

Rozpoczynają się, jak corocznie, d. 1 Października. Wolni słuchacze i wolne słuchaczki mogą wstępować tylko na rok jeden.

Najlepszy środek kosmetyczny

nadający cerze świeżość i czystość

Zródło piękności

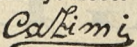


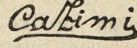
Patent w Anglii

Crème CAZIMI

Metamorphosa

przeciwko PIEGOM.

Dowodem autentyczności środka przeciw piegom jest podpis 

i dołączony do każdego słoika rysunek „ZRÓDŁO PIĘKNOŚCI.” 

Bez podpisu i rysunku zatwierdzonego przez Depart. Hadlu i Manuf. za Nr. 4683—

FALSYFIKAT.

Do nabycia we wszystkich składach mater. aptecz., perfumer. i aptekach.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

ANTONINY PIASECKIEJ

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony sprowadza cudzoziemki

Warszawa, Krak.-Przed. 38.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

JAHŁKOWSKIEJ

Warszawa, Marszałkowska 118

poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

Księgarnia J. Fiszera, Nowy-Świat 9 w Warszawie—zaleca dzieła pedagogiczne Reussnera do bardzo przedkłej i najłatwiejszej nauki Języków Obcych, bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs

I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.

Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.

Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20; kurs II-gi rb. 3.20.

Gramatyka Polsko-Francuska kop. 1.20.

Wypisy Francuskie kop. 80.

Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20.

Amerykański Przewodnik kop. 50 i 5.

Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5, 12, 24, 40;—kurs I-y kop. 1.40;—kurs II-gi kop. 1.80.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

GRETILLAT

Ś-to Krzyżka 15.

Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

Wydawca: Piotr Laskauer.—Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Августа 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41